Nr 51 (1561). Warszawa, 17 grudnia 1910 r. **Rok XXX**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

U źródeł zła.

Chcemy dziś dotknąć jednej z naszych najgłębszych bolączek, traktowanej zazwyczaj powierzchownie w licznych artykułach i rozprawach na temat *wychodźtwa.* Pomijając formalne strony tego zjawiska, zstąpimy odrazu na właściwe jego narodowo-społeczne podłoże, aby ujawnić i wskazać groźne luki w podstawach naszego bytu.

Niema dwuch zdań, że wychodźtwo, jak się ono dziś u nas praktykuje, jest nietyle może faktem ujemnym, ile niepokojącym objawem. Faktem ujemnym nazwać go nie można, bo w szczupłym bilansie dochodów krajowych stanowi pokaźną pozycję zysku, wyliczanego z dumą przez pewnych krótkowzrocznych statystów.

Ale trudno obronić się przed uczuciem upokorzenia i bólu, gdy co rok setki tysięcy naszej siermiężnej i robotniczej braci, pędzone niedostatkiem, zmuszone imać się roli najmitów u bogatych sąsiadów, idą na poniewierkę, na znój, *na krwawicę*... Wzamian za skąpą płacę, polski proletarjusz żylastymi dłońmi dźwiga świetny gmach materjalnej kultury Zachodu — w którym nie sądzono mu mieszkać. Każdy zapracowany w tych warunkach rubel jest ekwiwalentem dziesiątków i kroci, napędzanych do obcego skarbca. Wie o tym polski robotnik, zaciska zęby i wraca — aby za rok nieść znowu sąsiadom w ofierze swoje sprawne ramiona i posłuszny kark.

A ilu jest takich, co nie wraca? I choćby się im dobrze działo na obczyźnie, choćby tam porośli w pierze, choćby wspięli się na najwyższe szczeble drabiny społecznej — co jest rzadkim zresztą wypadkiem — już oni dla nas straceni, już krew ojczysta ich żywym pulsem nie zatętni... I nic dziwnego, że nasz organizm narodowy, osłabiany ciągłym upływem sił najbardziej żywotnych i potrzebnych, cierpi na anemję i podążać za światem nie umie.

Jesteśmy bowiem, jak człowiek niezasobny w środki i siły, który, zamiast oszczędzać i skupiać się w sobie — trwoni na wszystkie strony świata sieroce swoje grosze i szczupłą energję... I jesteśmy jeszcze, jak ów człowiek „nawspak" urodzony, któremu wszystko w życiu jakoś opacznie się składa...

Główną przyczyną wychodźtwa nie jest ani ciasnota i nadmiar sił, jak w Anglji, ani, jak w Niemczech, nadmiar apetytów, nie mogących wyżywić się na skąpej glebie — jest nią ubóstwo. Polska jest krajem ubogiem. W Królestwie istnieje wprawdzie przemysł i handel, ale to rynsztok błota i krwi, który toczy złoto do Niemiec, Belgji i Francji. Przemysł t. zw. polski daje krajowi minimalne korzyści, bo polskim nie jest; nie jest nawet krajowym. Natomiast pomnaża u nas armję proletarjatu, skazanego na byt godny jaskiniowców i troglodytów, na wegetację opłakaną w mrokach grubego fetyszyzmu, na rozpaczliwe i bezcelowe konwulsje żywiołowego buntu.

Zamożność kraju nie wzrasta, albo wzrasta bardzo powolnie. Handel i przemysł drenują „nadwartość" w obce ręce; część mała bogactw, pracą fizyczną dobytych, w kraju pozostaje; część jeszcze mniejsza produkcyjnie bywa użyta; większość — tak, jakby nie istniała... Pozostają po niej dymy fabryczne, ohydne ulice Bałut albo Woli, bezładne strajki i doktryny skrajne, które lżą społeczeństwo i złorzeczą ojczyźnie. Zagranica lokuje tu swe kapitały i teorje: kapitały wracają do niej potrojone; teorje wśród nas osiadły... Belgijski miljoner, kapitalista i liberał, jak pączek w maśle opływający w „nadwartości", zdobytej rękami polskich robotników — ma do czynienia u siebie w kraju z kurtuazyjnym i wytwornym Vanderwel-

dem, który z nim wchodzi w bloki wyborcze; ale za to nieistniejąca prawie polska „burżuazja" znosić musi wściekłe ataki rodzimych nieprzejednańców.

* * *

Kiedy czytamy w gazetach, że w kopalniach nadreńskich wybuchły gazy, zabijając setki górników, że w Pittsburgu, w olbrzymich stalowniach szerzą się krwawe rozruchy, że zatonął parowiec linji Hamburg—Ameryka z całym ładunkiem emigrantów — przeczucie niechybne nam mówi, że tam giną Polacy... Niegdyś ginęli na polach bitew, dziś mniej chlubną, ale stokroć cięższą pełnią służbę najmitów w dolnych kondygnacjach Pracy. Oni to dobywają węgiel w Westfalji pod wzgardliwym okiem dozorcy, oni żyją w straszliwym zaduchu i brudzie trzeciej klasy na statkach niemieckich, oni pełnią w amerykańskich trustach stalowych i mięsnych, pospołu z murzynami, najcięższe i najniższe posługi — oni, wszędzie oni... Prócz Żydów, Irlandczyków i Ormian, nie było chyba narodu, podobnie przez los doświadczonego. Na tym tle długiej kalwarji narodowej nasi wieszcze utkali złote hafty przepięknej poezji, opiewającej posłannictwo Polski wśród narodów; podobnie prorocy hebrajscy, upadając pod brzemieniem bólu, olśnili świat najcudowniejszą liryką; cóż, kiedy trzeźwy umysł ostrzega, że nie mesjaszem, ale raczej parjasem narodów możemy zostać, jeśli nie wydźwigniemy się z tego położenia.

Trudno zaprzeczyć, że głównym złego czynnikiem jest niewola polityczna, połączona z obezwładnieniem i zastojem w każdej dziedzinie. Ale i to trzeba uznać, że na polu ekonomicznym ten czynnik najmniej się daje we znaki, a nawet stwarza nieznane przedtym w Królestwie konjunktury pomyślne, z których, niestety, nie my potrafiliśmy skorzystać.

Samo społeczeństwo winno jest beznadziejnej nędzy, która miljony naszego ludu spycha na poziom parjasów międzynarodowych, pędzi na los tułaczy, na poniewierkę. Winni są ci, co mając środki, patrzą ospale, bezmyślnie i obojętnie, jak cudzoziemcy tu, na polskiej ziemi, kładą podwaliny pod takie potworne twierdze germanizmu, jak Łódź, pod takie piramidy wyzysku, jak Dąbrowa i Sosnowiec. Nieszczęściem Polski było to, że nie miała nigdy silnego *trzeciego stanu*, że brakowało jej warstw średnich, nieodzownie koniecznych do zachowania normy społecznej; nieszczęście trwa po dziś dzień.

Majątkowy stan posiadania w Polsce jest wyrazem tych niezdrowych stosunków. Mieszczaństwa prawie niema; szlachta posiada jeszcze olbrzymie dobra, które traci głupio, bezmyślnie — dowodem Rydzyna — albo otrzymywane zyski wydaje równie bezmyślnie i głupio. Fatalność chce, że wszędzie, gdzie żywioł polski materjalnie przeważa — na Litwie, Rusi, Podolu— jest on właśnie przez tę szlachtę reprezentowany — i powiedzmy to szczerze: *reprezentowany ujemnie*. Żywioły silne materjalnie np. podolacy w Galicji — pchają nas wstecz, usiłują wtłoczyć w ramy specyficznej kastowej reakcji — i upośledzają sami własne społeczeństwo; wszędzie indziej jesteśmy upośledzani, wyzyskiwani i uwsteczniani przez obcych: oto smutny bilans naszych stosunków.

* * *

Zmienić go na korzyść może tylko świadoma, wytężona praca pokoleń. Na co składały się lata, muszą lata również odrobić. *Muszą* — bo w przeciwnym razie groziłaby nam dekadencja, zguba niechybna; lecz narodowi polskiemu nie sądzonym jest zginąć. Świadczy o tym Wielkopolska, której wypadło zetrzeć się z wrogiem najgroźniejszym, bo zbrojnym we wszelkie przewagi i zajadłym; a jednak dotrzymała mu pola i zahartowana w ciężkim mozole, dziś ufnie patrzy w przyszłość. Niezmożona żywotność i odporność ludu polskiego jest rzeczywistym faktem; ona się tylko za biernie dotąd przejawia.

Potrzeba nam czynu. Nie tego, o którym śnią w tęczowych snach poeci; potrzeba nam *czynnej prozy życia*. Będzie nią ekonomiczne i społeczne podźwignięcie kraju przez intensywny rozwój nietylko wielkiego przemysłu i handlu, lecz nadewszystko przez pobudzony zmysł współpracy, przez technikę zrzeszeń, przez praktykę powszednią samopomocy. Idzie o to, żeby nie zostać w tyle za innymi w nieustającym doborze środków, w szybkim doskonaleniu techniki życiowej. Jest to mus — i stawiamy go przed oczy społeczeństwa.

Niepodobna być maruderem życia bez najgorszych dla siebie następstw. Zadługo i zanadto odwracała nas ideologja zaobłoczna od zagadnień realnego bytu; Polska nie może żyć prowizorycznie z dnia na dzień czekaniem na „godzinę cudu", lub na katastrofę, co warunki zmieni radykalnie. Czeka ją mrówcza praca u podstaw, budowa trwałego domu dla głodnych swoich dzieci; zbyt długo krańcowy pogląd na istotę obecnego ustroju skłaniał sfery lewicowe do lekceważenia tej *sprawy dobrobytu narodowego*; dziś jest ona na pierwszym planie i domaga się względów należnych. Zadużo mamy w Polsce przeciwieństw; nie może istnieć norma społeczna w kraju, na którym dwie tylko sfery wyciskają piętno swoistej ideologji: szlachta i proletarjat. Dlatego cierpimy, dlatego puls naszego życia bije nienormalnym, raz przyduszonym i powolnym, to znów gorączkowym tętnem.

Potrzeba nam Polski demokratycznej, zamożnej i kulturalnej, którаby nie tworzyła u siebie ośrodków parafjańskiego zacofania i skrajnych doktryn, podczas gdy setki tysięcy nędzarzy idą co rok na poniewierkę do sąsiadów.

Taką demokratyczną, trwałą Polskę winien budować każdy z nas, nie stawiając horoskopów dalekich, nie bawiąc się w mistyczne przepowiednie.

O wychowaniu i nauczaniu.

III.

Byt każdego narodu i każdej społeczności w pierwszym rzędzie zawisł od charakterów, dużo zaś mniej od talentów.

Z tego powodu pieczy kształcenia charakterów więcej wysiłków poświęcać należy, niżeli trosce o ro-

zwój talentów, jeżeli trudno jest kultywować jedno i drugie.

Mówiąc o charakterze, nie mamy na myśli koncepcji Smiles'a i jego nie mniej mdłych plagiatorów. Koncepcje te są przykrojone na modłę filisterji i kapitalistycznej ideologji. Przewodnią myślą tych morałów, tyleż naiwnych ile nudnych jest to, że każdy, kto tylko zechce, może zostać bogatym, że bogactwo jest zasłużoną nagrodą za wykazaną wytrwałość, pracowitość, oszczędność, wykorzystanie każdej okoliczności dla sprawy ostatecznego celu i pierwotnego bodźca, jakim jest wzbogacanie się. Dla zawstydzenia marzycielskich niedołęgów, stawia się im przed oczy wzory kelnerów, którzy gromadząc korki lub druty od butelek z musującymi trunkami, stają się bogaczami. Zupełnie zapomina się, lub świadomie milczy o tym, że tylko dzięki temu, że nikt więcej korków i drutów nie gromadzi i owych kelnerów nie naśladuje, mogą oni tą drogą się bogacić, że pojawienie się większej liczby ich naśladowców poderwałoby u podstaw podobne źródło bogacenia się.

Pod mianem kształcenia charakteru pojmujemy kształcenie całego szeregu przymiotów, jak np. odwagi cywilnej i wojskowej, otwartości i szczerości, wytrwałości, stanowczości, rozwagi, karności, w zakresie przedsięwziętych zadań, dotrzymania dobrowolnych obietnic i zobowiązań, życzliwego stosunku do ludzi, lojalności względem spraw i ludzi.

Ponieważ tylko „exempla trahunt" przeto wzory tych przymiotów muszą być dostarczone wychowańcom przez wychowawców. Nie powinni wychowańcy oswajać się z glorifikacją zasady, że niema podłości, której nie byłoby dozwolonym popełnić dla t. zw. „idei". Przypominamy w tym miejscu raz jeszcze, że znamiona charakteru powyżej wymienione są przymiotami warunkowymi, gdyż są one przymiotami tylko wówczas, gdy otoczenie społeczne i stosunki społeczne przenika moralna dążność bioutylitaryzmu. W społeczeństwach spodlonych klerykalizmem i biurokrotyzmem, nędzą i rozmaitymi ideami z pod ciemnej gwiazdy, lecących na dno przepaści i samozatracenia, każdy łgarz i obłudnik jestwięcej zabezpieczonym od szczerego i prawdomównego i ma nad nim przewagę, szczerość zaś i prawdomówność wystawiają na tysiączne niebezpieczeństwa i prześladowania.

Tam, gdzie panuje taki nad wyraz smutny stan rzeczy, wszystkie problematy wychowawcze, urzeczywistniające hasła bojowe o życie dla życia, otrzymują miejscowe zabarwienie i wymagają osobliwego rozwiązania.

Zapobiegawcza higjena wychowawcza, sponiewierana przez takie społeczeństwa już nie wystarcza, lecz okazuje się konieczną jakaś medycyna wychowawcza, wymagająca studjów specjalnych.

Powróćmy do przerwanego wątku naszych wywodów. Przy wdrażaniu wychowańca do współżycia i współdziałania spora rubryka przymiotów charakteru, o jakich wzmiankowaliśmy, już jest urzeczywistnianą. Inne nie objęte tą rubryką zależą od zdrowia fizycznego. Tchórzostwo np. jest stanem pewnej newrozy i cielesnego wycieńczenia na skutek czego zatraca się ochoczość do wysiłku, związanego ze zwalczeniem niebezpieczeństwa. Do tego dołącza się nieraz psychoza pod postacią nadpobudliwej wyobraźni, skłonnej do przerażających wizji, uniemożliwiających trzeźwe wymierzenie rzeczywistego niebezpieczeństwa.

Mnogie są charaktery lękliwości, które tu trudno wyliczać i opisywać. Jest np. rodzaj bardzo pospolity, który wynika z braku doświadczenia, uniemożebniającego wymierzenie rozmiarów niebezpieczeństwa oraz z niedowierzania we własne siły i uzdolnienia, których zasobność się nie uświadamia u ich posiadacza, skoro nie były one nigdy wystawiane na próby i zażywane. Tego pokroju lękliwość jest pospolitą u kobiet, hodowanych na wzór pokojowych roślin doniczkowych.

Organizm w pełni zdrowia należycie odżywiony i wyćwiczony nietylko jest przedsiębiorczym i energicznym, lecz wszelki wysiłek go nęci, sprawia mu przyjemność i ulgę, dając ujście dla nadmiaru nagromadzonej energji. Z tego powodu człowiek, obdarzony kwitnącym zdrowiem, gdy nie jest miarkowany rozwagą, z brawurą nawet spotyka niebezpieczeństwo, dające mu sposobność wyładować pewną ilość wysiłku w walce. Każdy, kto cieszy się szczytnym stanem zdrowia, przeżywa podobne stany i doświadczalnie je stwierdza.

Wytrwałość ujawnia się w zdolności do wysiłku a zatym zależną ona jest również od kwitnącego stanu zdrowia, podniecającego do wysiłków chwilowych i trwałych, wielokrotnie powtarzających się. Zaprawiać do wytrwałości można na drodze postępowego i stopniowego zadawania robót, kilka razy do roku obliczonych na forsowne wysiłki umysłowe lub cielesne.

Do rozwoju odwagi i wytrwałości doskonale nadają się forsowne wyprawy ratownicze górskie, morskie, pożarnicze, pływackie i inne, w których wychowańcy powinni być ćwiczeni. Wpływa to prócz tego uszlachetniająco i uspołeczniająco: przyświeca bowiem temu zasada poświęcania się bezinteresownego na rzecz bliźniego, z którą się wychowaniec oswaja i przyswaja ją sobie pod postacią nałogu.

Pospolitą troską wychowawców jest ochrona wychowańców przed przedwczesnym rozbudzeniem się życia płciowego, wyradzającego się w młodzieńczym okresie najczęściej w rozpustę i nadużycia płciowe ze wszystkimi ich zgubnymi skutkami w dziedzinie umysłowości, charakteru i ciała.

Normalnie okres życia płciowego może rozpocząć się wówczas dopiero, gdy ustrój przestaje rosnąć i wszystkie organy dochodzą do kresu i pełni swego rozkwitu.

Bujność tego życia płciowego winna być zastosowaną do indywidualności i zasobności ustrojowej nowicjusza w tej dziedzinie. Władze płciowe jak wszelkie uzdolnienie, mogą przez pewne zabiegi być doprowadzone do przerostu na niekorzyść innych władz, raz więcej, inny raz mniej potrzebnych w walce o byt. Ponieważ człowiek przedstawia sobą pewną stałą wielkość urozmaiconych energji, przeto ekspansja wszelka jednostronna pociąga za sobą zubożenie w innych dziedzinach działania. Przedwcześnie rozbudzone życie płciowe młodzieńców, z natury swej bardzo absorbujące i expensywne pod względem fizycznym jest życiem nad stan, które wstrzymuje rozwój i rozkwit innych władz i uzdolnień. Ta niezgodna z doświadczeniem i rozumem, etyka płciowa, sprzeniewierzająca się naczelnej zasadzie etyki, jaką jest *bioutylitaryzm,* gdy parę pokoleń z rzędu ją stosuje, prowadzi do rasowego skarlenia i rasowego znikczemnienia, ujawniającego przeróżne niedobory cielesne i duchowe w walce o byt współzawodniczących ze sobą ras.

Jaskrawy przykład tego widzimy, gdy zestawimy nasze hodowane zwierzęta domowe z ich pobratymcami, żyjącymi w stanie dzikim, lub gdy zaniedbawszy hodowlę, pozostawimy je samopas ich własnemu losowi. Skarłowacenie rasowe i znikczemnienie spostrzegane na zwierzętach żyjących w stanie dzikim, pochodzi stąd, że okres rodzenia i zapładniania rozpoczyna się wcześniej, niż rodzice zdążyły rozrosnąć się i ukrzepić ostatecznie.

Wśród społeczeństw, dławiących emancypacyjne wysiłki kobiet, wśród społeczeństw, żywiących olbrzymie tabuny wojska i kleru, gdzie jedynym dla kobiety środkiem zapewnienia sobie bytu bywa jej samicza płeć, rozpusta i prostytucjonizm są olbrzymio rozpanoszone, szerzą właściwe im spustoszenie i nim smagają społeczeństwo za ujawniony brak rozu-

mu życiowego. W społeczeństwach tego pokroju rozpustny i prostytucyjny koloryt przenika do wszelkiego stosunku mężczyzny i kobiety, nie szczędząc często nawet stosunku małżeńskiego.

W tych okolicznościach wszystkie kobiety, które zostaną odtrącone przymusowo od szczupłych źródeł kobiecego zarobkowania, wszystkie kobiety mniej skłonne do zaparcia się siebie, których wycieńczanie siebie przy warsztacie w zamian za lichy byt bynajmniej nie nęci, gdy nie są uprzywilejowane osobistym majątkiem, zmuszone się widzą szerzyć wokół siebie kult zmysłowości, ażeby podbić tą drogą cenę swej płci, wystawionej na lepszą lub gorszą przezorną lub lekkomyślną sprzedaż

Gdy taki stan rzeczy trwa dość długo, zmysłowość staje się charakterystycznym znamieniem kultury danego społeczeństwa lub pewnych jego sfer. Jest rzeczą oczywistą, że chcąc uchronić wychowańca od przedwczesnego rozbudzenia życia płciowego, należy go wycofać z klimatu zmysłowości, jaki wytwarza charłactwo kulturalne społeczeństwa, wyzutego z jędrności, hartu i rozumu.

Trzeba pozostawić wychowańcowi jak najmniej styczności z podobnym społeczeństwem, jeżeli nie można go na okres wychowawczy całkowicie izolować. Wszelkie środki policyjne, rozciągnięte nad wychowańcem w widokach ochrony go przed rozpustą, są objawem bezmyślności i nieokrzesanego chamstwa, są poprostu nieprzyzwoite. Jako takie przynoszą tylko szkodę nie okupioną żadnym pożytkiem. Wychowańca pouczają one tylko do doskonalenia wybiegów. Tropiony wychowaniec, ażeby skutecznie się zabezpieczyć, wnet zwabi w odmęty swego życia płciowego współtowarzyszy, ażeby zyskać u nich pomoc, jako u współwinnych. W złem, które go trapi, tresuje się on przez to jeszcze więcej, poświęca mu więcej czasu i wysiłków na niekorzyść obarczających go obowiązków, wreszcie zżywa się z nim i uprawia je z zajadłością, na złość i na przekór osobom, usiłującym go krępować. Poczyna on w końcu głucho nienawidzieć swych przełożonych nieraz tylko z tego głównie powodu.

Chcąc zachować młodzieńca w czystości płciowej, unikać trzeba zwalczania rozpusty jątrzącymi środkami policyjnymi, które tylko demoralizują. Należy dorastającego młodzieńca uświadomić jaką wartość i znaczenie dla niego ma życie płciowe, jak on winien się odnieść do niego, jeżeli chce zeń korzyści wyciągnąć i uniknąć uszczerbków. Prócz tego należy w nim rozwinąć straż wewnętrzną, nieodstępną i nieomylną, pod postacią takich szlachetnych ambicji, które uzbrajałyby przeciw pokusom rozpusty, prowadzącej w ostatniej instancji do charłactwa wszechstronnego. Należy wreszcie wychowańcowi nie dać czasu na rozpustę. Życie wychowańca powinno być wypełnione po brzegi najróżnorodniejszą działalnością i rozrywką, zastosowaną do wieku i wrodzonych upodobań. Gdy do tego wszystkiego dołącza się normalny stan ciała absorbowanego przez wielorakie ćwiczenia nie mające z rozpustą nic wspólnego, to osiągnie się dużo szans, że nie znajdzie dostępu do wychowańca rozpusta płciowa, która z żywiołową siłą nieraz niweczy wszelkie zamiary, wysiłki i dążenia wychowawców.

Wychowanie fizyczne przedstawia najmniej trudności i zawikłań. Reguły jego są opanowane przez higjenę i medycynę i cały problemat sprowadza się tu do pogodzenia szczytnego celu z rozporządzalnymi środkami pieniężnymi. Jedynie szablonowe i bezkrytyczne odnoszenie się do sprawy kultury fizycznej upoważnia do poświęcenia temu przedmiotowi kilku uwag ostrzegawczych.

Baczną uwagę zwracać trzeba na harmonijną równomierność w rozwoju władz psychiczno-umysłowych i cielesnych, chcąc wychowywać tak zwanych „całych ludzi".

Przez jednostronne i przesadne ćwiczenie ciała lub nawet tylko części ustroju (np. jakiejś grupy mięśni) narusza się wymagania estetyki i higjeny i łatwo wpada się w kulturę bestjalizmu, co oczywiście byłoby błędem wychowawczym.

Kulturze fizycznej, będącej nieodłączną składową częścią wychowania, musi przyświecać pewien ideał, bez którego wszelka działalność wychowawcza zatraca busolę i ster. Uzasadnieniem życiowym kultury fizycznej jest to, że problematy życia wymagają często wysokich kwalifikacji fizycznych, którym sprostać trzeba, jeżeli życie nie ma być męczarnią. Poza tym kulturze fizycznej powinno przyświecać zamiarowe pomnożenie zasobów samoobrony, wreszcie wzgląd na podźwignięcie i udoskonalenie rasy.

Kultura fizyczna, której przyświecałaby idea rozbijania czerepów swoim bliźnim, albo idea bandytyzmu państwowego lub indywidualnego, nie może być składową częścią cywilizowanego wychowania i jako niemoralne barbarzyństwo, musi być zwalczaną.

Wszystkie te względy trzeba brać pod uwagę przy wzbudzaniu u wychowańców podniet i zachęty do oddawania się ćwiczeniom fizycznym.

Bioutylitaryzm jako przewodnia zasada etyczna i tu utrzymuje się w swej sile.

Myśl kultury fizycznej w wyobraźni pospolicie łączy się z gimnastyką, co jest zacieśnieniem tej myśli. Przez gimnastykę niesłusznie zwykle pojmuje się skąd inąd nielogiczne ruchy, wykonywane na obmyślonych do tego celu przyrządach. Celem gimnastyki jest wprawienie całego kompletu mięśni w ruch na tyle intensywny, ażeby osiągnąć ożywienie oddechu i krwiobiegu.

Ażeby cel ten osiągnać, niema potrzeby wykonywać nielogiczne i śmieszne ruchy pod postacią „salto mortale". Ekonomja czasu, praktyczne i logiczne względy wymagają, ażeby cele gimnastyczne osiągane były na drodze wielostronnych zajęć cielesnych, poza godzinami szkolnymi, jak np. podczas ćwiczeń wojskowych, podczas zabaw ruchowych, podczas ćwiczeń pływackich, podczas szermierki i robienia bronią, przy zajęciach sadowniczych, lub podczas zajęć praktycznych przy tym i owym warsztacie.

Następnie pod mianem kultury fizycznej nie należy wyłącznie pojmować pewien poziom zręczności i sprawności mięśniowej, lecz także rozwój różnorodnych przymiotów cielesnych jak wytrzymałość na ból, odporność na działania atmosferyczne, odporność na głód, na pragnienie, na znużenie.

(d. n.). *Szpon.*

Związki zawodowe w Niemczech.

W Niemczech zaczątki ruchu zawodowego przypadają na r. 1848. Nizki stan przemysłu niemieckiego, pomieszanie ruchu zawodowego z ruchem zjednoczenia Niemiec — sprawiają, że zaczątki te rozwiną się silniej dopiero w r. 1868-ym. [1]) Wówczas Schweitzer organizuje ogólny związek robotników niemieckich, polityczny, ekonomiczny i zawodowy jednocześnie. Wojna franko-pruska przerywa te przygotowania. Po wojnie Hirsch i Dunker organizują związki zawodowe, niby ściśle wzorowane na angielskich trade-unionach, lecz zależne od partji nacjonal-liberałów. W każdym razie, związki te dobrze zorganizowane, mające na celu nietylko strejki, lecz

---

1) Przedmiot ten opracowałem szczegółowo w studjum p. t. „Związki zawodowe i partje polityczne w Niemczech". Było umieszczone w Nr. Nr. 166, 168, 170 i 172 gazety „Ludzkość" z grudnia 1906 roku.

i pomoc wzajemną członków, wzbudzają zainteresowanie proletarjatu. Socjal-demokracja niemiecka, pierwotnie wrogo zapatrująca się na związki zawodowe, bierze się również do ich tworzenia, lecz stawia je pod ścisłą kontrolę i w surowej zależności od zarządu partji. Okres 1880 — 1890 jest okresem z jednej strony prześladowania związków zawodowych, nawet liberalnych, z drugiej — słynnych ubezpieczeń robotniczych od choroby, potym — od niezdolności do pracy i starości, które rząd z góry ofiarowywuje.

W latach dziewięćdziesiątych prześladowania ustają. Związki zawodowe zarówno liberalne, jak i socjalistyczne, stawiają sobie za główny cel wykorzystanie ubezpieczeń dla siebie, usunięcie z nich urzędników państwowych i zastąpienie własnymi, sprowadzając państwo do roli kasjera. W tym czasie na południu i zachodzie powstają chrześcijańskie, właściwie katolickie związki zawodowe, znów o charakterze partyjnym i wyznaniowym. Natomiast związki zawodowe zorganizowane przez socjalistów, zaczynają coraz bardziej wymawiać posłuszeństwo partji socjalistycznej i zmuszają ją do uznania z początku ich autonomji, wreszcie zupełnej niezależności. Kierunek rewizjonistyczny, wciąż wzrastający w socjalizmie, popiera to dążenie związków do samodzielności. W miarę wyzwalania się związków zawodowych, założonych przez partję socjalistyczną od tej partji, szeregi ich wzrastają. Natomiast inne związki liberalne i chrześcijańskie — nie przeszły tej ewolucji usamodzielnienia, wskutek czego zatrzymały się w swoim rozwoju.

Ciekawe jest, że nasi socjaliści, którzy udają, iż tak wiernie naśladują niemieckich, właściwie naśladują tylko ich ujemne strony. Wiadomo bowiem, że u nas właśnie ta część socjalistów, która najgłębiej wierzy w ortodoksyjny marksizm, najgwałtowniej zwalcza bezpartyjność związków.

W Niemczech sytuacja jest dziś odwrotna. Właśnie chrześcijańskie i nacjonal-liberalne związki są ściśle partyjne: w pierwszych wymagalne jest świadectwo należenia do centrum katolickickiego, w drugich — zobowiązanie nie wstąpienia do socjal-demokracji. Związki zaś, założone przez socjalistów, „wolnych" przyjmują każdego robotnika, nie pytając go o przekonania polityczne, ani też nie krępując go w nich.

Właściwie utworzenie i zorganizowanie związków w Niemczech jest zasługą Hirscha i Dunkera. Poprowadzenie ich dalej — zasługą wolnych związków.

Cyfrowo za rok 1908 obraz ten przedstawia się w sposób następujący:

Wolne Związki Zaw. (Freie Gewerkschaften) — 1,831.731 członków, zgrupowanych w 11,024 związków lokalnych (kobiet w tej liczbie — 138.443)

Nacjonal-liberalne zw. zaw. t. zw. związki Hirscha i Dunkera (Gewerkvereine) — 105 558 członków, zgrupowanych w 2.095 zw. lokalnych.

Chrześcijańskie zw. zaw. (Christliche Gewerkschaften)—264.519 członków w 3.212 związkach.

Niezależne zw. zaw. (Jeżeli wolne zw. zaw. są bezpartyjne, to niezależne — będą arcy-bezpartyjne)— 135.127 członków.

„Patryjotyczne" zw. zaw. (utworzone przez partję „wolno konserwatystów") — 18,912 członków (Reichstreue Gewerkschaften).

„Żółte" zw. zaw. — 65.338 członków.

Ostatnie dwie kategorje związków zostały utworzone przez stronnictwa skrajnej prawicy.

Pracownicy kolei państwowych, poczt państwowych i in. nie są zgrupowani w związki zawodowe, mające na celu obronę swoich interesów wobec pracodawcy-państwa, lecz w stowarzyszenia wzajemnej pomocy.

Działalność głównych niemieckich związków zawodowych ilustrują następujące cyfry (za rok 1908).

Wolne związki zawod. miały ogólnego dochodu 42,057,516 marek, z czego wydały na strejki 4,819,399 marek (koło 11 proc.), resztę na różne cele wzajemnej pomocy, np. na pomoc dla pozbawionych pracy — 8,134,388 mk., na viaticum — 1,184,353 marki, i t. d.

Hirsch-Dunkerowskie zw. zawodowe miały dochodu 1,310,944 marek, z czego wydały na strejki 130,340 mk. (10 proc.), resztę na cele wzajemnej pomocy, a więc na pomoc dla pozbawionych pracy — 288,068 mk., na viaticum — 71,365 mk. i t. d.

Chrześcijańskie zw. zawodowe miały dochodu 2,750,354 mk., z czego wydały na strejki aż 424,992 mki (blisko 20 proc.), resztę na wzajemną pomoc, a więc 133,453 mk. na pomoc dla pozbawionych pracy i t. d.

Z tych cyfr wynika ciekawy wniosek, że najbardziej bojowe są chrześcijańskie związki. Niema w tym nic niemożliwego. O ile związek zawodowy nie jest organizacją łamistrejków, musi wystawiać pewne żądania, z którymi pracodawca tym mniej się liczy, im związek jest słabszy i gorzej zorganizowany. Ponieważ zw. zaw. chrześcijańskie są liczebnie słabe i przy tem źle zorganizowane, więc pracodawcy nic sobie z nich nie robią, i one są zmuszone do strejków. Natomiast silny, liczny, dobrze zorganizowany związek zawsze w końcu zostanie uznany, jako strona, przez pracodawcę i wówczas rzadko dochodzi do strejku, bo wzajemny stosunek może być z łatwością ujęty w formę umowy zbiorowej, którą ewentualnie może ustanowić sąd rozjemczy. Wreszcie dopiero w silnych związkach biorą górę rozumni ludzie, którzy wiedzą, że strejk — to wojna, a w każdej wojnie wyrządza się krzywdę nietylko przeciwnikowi, ale i sobie. Należy więc jej, o ile możności — unikać. Nie należy zapominać, że instytucje, ich potrzeby, ich funkcjonowanie porywają ludzi, jak maszyna — towar, i zmuszają do postępowania wbrew przekonaniom idejowym, choć tego się nie widzi, bo przekonania stopniowo naginają się do nowych potrzeb instytucji. Nie przeczy też to bynajmniej temu, że instytucja jest właściwie skrystalizowaną ideją. Mamy dwu-proces oddziaływania instytucji na ludzi i ludzi na instytucję, przyczem to ostatnie zdaje się mieć większy wpływ w młodych, a pierwsze — w starych instytucjach.

Organizacja wolnych zw. zaw. przypomina organizację trade-unionów i syndykatów.

U dołu Zweigverein (gdy liczy niewiele członków — Zahlstelle) — obejmuje robotników jednego zawodu w jednej miejscowości.

Wyżej — Gewerkschaft, związek robotników jednego zawodu na całym terytorjum.

U szczytu Centralverband der Gewerkschaften Deutschlands — związek związków, który odbywa kongresy raz do roku i ma swoją stałą komisją generalną. Ta „Generalna Komisja Centralnego połączenia Związków" (General-Komission des Centralverbandes der Gewerkschaften) ściśle odpowiada sekcji federacji i syndykatów francuskiej Ogólnej Konfederacji Pracy, lub angielskiej Generalnej Federacji Trade-Unionów.

Odpowiednikiem Giełdy Pracy i Trade — Councile'a — jest Gewerkschaftskartel (właściwie powinien nazywać się Zweigvereinenkartel), który łączy robotników różnych zawodów w jednej miejscowości.

Francuska sekcja Giełd Pracy Ogólnej Konfederacji Pracy w Niemczech, jak i w Anglji niema odpowiednika.

W nacjonal-liberalnych zw. zaw. — związek lokalny nazywa się Ortsverein, federacja związków lokalnych jednego zawodu — Gewerkverein, federacja federacji związków jedno-zawodowych — Verband der Gewerkvereine, wreszcie wszech zawodowy związek lokalny — Ortsverband.

Pod względem przekonań czysto zawodowych — cały niemiecki ruch zawodowy, szczególniej „wolny", jest bez najmniejszej wątpliwości wybitnie reformistyczny. Wolne związki, najważniejsze i najliczniejsze, są przytem, jak wspominaliśmy, apolityczne i bezpłatne.

Francuski syndykalizm rewolucyjny ma pewien ekwiwalent w niektórych berlińskich i bawarskich lokalnych i niesfederowanych związkach. W Berlinie związki te mają nawet swoją specjalną centralną organizację. Teoretykiem tego ruchu jest Friedberg, jednak te związki lokalne, partyjnie — anarchistyczne, (*anarcho — socjalistyczne*, jak je nazywają w Niemczech) — ani nie łączą się organizacyjnie z wolnymi związkami, ani wogóle nie wywierają wielkiego wpływu. Cyfra ich członków jest niewiadoma, w każdym razie — bardzo nieznaczna.

Jerzy Kurnatowski.

BADANIA NAUKOWE.

Lew Tołstoj jako filozof.

„Ach, kiedyż raz już spocznie Klątwa-Mściciel,
„Kiedyż powstrzyma swój gon?

Ofiary Ajschylosa. Tłum. *Kasprowicza.*

Każdego, kto czyta tragedje Ajschylosa, uderzyć musi ogrom tej klęski, jaką była dla społeczeństw starożytnych zemsta krwawa. W tych przesiąkłych krwią i nieszczęściem ponurych dramatach Zemsta jest atmosferą, w której żyją i poruszają się istoty ludzkie. Ciągle brzmi zwrotka, że Zemsta jest prawem. Nie jest ona jednak tym prawem, którego żąda każdy, dla tego, iż daje mu ono w pewnym zakresie swobodę.

Jest to prawo — mus, nakaz wyższy. Ulegać mu musi każdy, chociażby wbrew woli własnej. Tak np. Orestes osobiście nie chce się mścić na matce. Pamięta jej pieszczoty w dzieciństwie i zbyt wcześnie wysłany był z domu, aby mógł powziąć do niej nienawiść. Ale cały lud żąda od niego zemsty. Siostra czekała nań, jak na dłużnika, aby uiścił się z długu. Apollo pchnął go do tego czynu, strasząc sforą ojca. Wreszcie sam on wie, że to jego powinność i, choć umysł jego zachwieje się pod ciężarem wyrzutów sumienia, musi ją spełnić. Skoro jednak jej dokonał, wnet budzi się prawo zemsty nanowo: matka spuszcza sforę Eumenid, i męka idzie dalej. I tak z pokolenia na pokolenie, z wieku na wiek biegnie ciągła myśl o krwi, ciągły wysiłek zemsty.

Ci, co bywali na Korsyce i w innych miejscowościach, gdzie dotychczas dotrwało prawo wendetty, utrzymują, że niema tam co myśleć o kulturze, o rozwoju duchowym ludności miejscowej. Wszystko bowiem co żyje, wytęża najlepsze siły na zemstę za czyny, których początek ginie nieraz przed wiekami. I tak zło rodzi zło bez końca.

Jak owe starożytne społeczeństwa przeniknięte były myślą o zemście krwawej, tak nasz cały byt indywidualny i społeczny oparty jest na idei odpłaty złem za złe. Czy to w wychowaniu, czy w prawie, czy w idejach religijnych, wszędzie dążymy do podtrzymania w ludziach przekonania, że zło rodzi zło i że porządek ten jest sprawiedliwy.

Jeżeli za dobro z natury rzeczy oczekujemy nagrody, to uważamy za słuszne, aby kara następowała po krzywdzie. Wedle tej zasady układamy całe nasze życie. Jakkolwiek zemsta nie będzie krwawa, jakkolwiek przybiera coraz to kulturalniejsze formy, przechodzi z rąk jednostki do instytucji społecznych, jakkolwiek wreszcie zatraca charakter zemsty, a staje się tylko wyrazem „sprawiedliwości", bądź co badź do bólu, jaki stworzył w świecie dany zły postępek, dodaje ona ból inny i zwiększa ilość cierpienia.

Jeżeli teraz rozważymy, jakie siły zatraca społeczeństwo najzupełniej świadomie w celu podtrzymania idei odpłaty złem za złe, to zobaczymy, że koszta jej są zaiste straszne. Wojsko, cały aparat sądownictwa, więzienia, kolonje karne, miejsca wygnania etc. Wszystko to jest wyrazem tegoczesnej „Sprawiedliwości", nietylko w najgorzej urządzonych społeczeństwach, ale nawet wśród przodowników postępu.

Zemsta nie przenosi się już wprawdzie z pokolenia na pokolenie, ale straciła ona równie dobrze jak wendetta, cechy bezpośredniego odruchu. Pokrzywdzony może nawet przebaczyć krzywdzącemu, może o cierpieniu swym zapomnieć. „Bezstronna sprawiedliwość" pochwyci jednak winowajcę w swoje obroty i zło zostanie ukarane.

Zimna idea wynagrodzenia tryumfuje.

A czy ta idea „Sprawiedliwości" nie jest najsilniejszą z uświadomionych więzi społecznych w państwach tegoczesnych? Weźmy Hegla, weźmy różnych pomniejszych niemieckich autorów t. zw. „Staatswissenschaft", czytajmy Thiersa, tak niegdyś wpływowego, zobaczmy, co mówią o tej sprawie wszyscy ci pisarze, a przekonamy się, że uważają oni za zasadnicze zadanie państw urzeczywistnianie idei „sprawiedliwości". I nietylko szczyty kulturalne społeczeństw, — cały lud uważa „wymiar sprawiedliwości" za sprawę wysoką, najwyższą niemal w życiu społecznym. Funkcje sędziow otoczone są wszędzie czcią szczególniejszą.

I zło powoduje zło. A nikt tego nie widzi lub przynajmniej nie odczuwa w całej pełni. Krytykujemy te lub owe urządzenia społeczne, uważamy za wyższe serca „miłosierne", niż „sprawiedliwe", dążymy do poprawy więzień, wychodząc z zasady, że takie, jakie są obecnie, służą do tworzenia przestępców zamiast do wykorzenienia zbrodni.

Ale wszystko to są paljatywy, dotyczące pojedyńczych, wyosobnionych stron naszego bytu. Ująć wszystko syntetycznie, podjąć zagadnienie w całej jego głębi, udało się jednemu tylko człowiekowi naszej epoki, — a człowiekiem tym był Tołstoj.

Walka z rozplenianiem zła przez jednostki i niemniej, a może więcej jeszcze przez społeczeństwa, stanowi ośrodkowy punkt filozofji Tołstoja i jego prawo do nieśmiertelności. Zarazem tkwi w ujęciu tej sprawy cała ogromna oryginalność tego myśliciela, cały nowy pogląd na świat, który niesie on ludzkości. Pozornie zasada jego: „nie sprzeciwiać się złu", niczym nie różni się od polecenia podstawić drugi policzek, dostawszy cios w pierwszy. W istocie zaś jest to chrześcijaństwo, z którego wyciągnięto konsekwencje dalsze, społeczne. Niezmierną musiała być kiedyś ulga ludzi, którym mówiono: „Nie trzeba płacić złem za zło; oko za oko i ząb za ząb — to zakon stary. Nowy zakon głosi: Miłujcie wrogów waszych". Ten nowy zakon pozwalał człowiekowi dźwignąć się z krwawych oparów zemsty i żyć spokojnie, nie żywiąc w duszy uczuć wrogich.

Ale, niezależnie od intencji pierwotnych, przepisy chrześcijańskie uległy przystosowaniu do bytu państwowego i żądają wyrzeczenia się zemsty, tylko jako funkcji indywidualnej. Kara, jako zadanie społeczne, pozostała tam, gdzie była, na wyniosłym stanowisku orędowniczki bytu państwowego.

Tołstoj właśnie głównie ku państwu zwraca ostrze swojej krytyki. Przestępstwa jednostek uważa on za małe w porównaniu z grzechami państw. Co znaczy: „nie sądźcie!" w słowach Chrystusa? Jużci nie: nie ogadujcie, bo to jest sprawa małej wagi, ale i nie oddawajcie nikogo pod sąd! Co znaczy: „kochajcie wrogów waszych?" Oczywiście, nieprzyjaciela mego kochać nie jestem w stanie. Ale *wróg* oznaczał wtedy

obcoplemieńca. Chrystus więc mówił: kochajcie inne narody! I t. d.

W ten to sposób poddaje on rewizji całą ewangelję i sprowadza ten konflikt z kościołem, który przywiódł synod do wyklęcia go jako heretyka. Kościół z jego obrzędami, z hierarchją, ze swoją rolą państwową był dla Tołstoja stałym przedmiotem krytyki. Jak wszyscy reformatorzy religijni, pragnął on wiary żywej, religji zupełnie wewnętrznej, religji, która by nie miała innych celów poza prawdą i uwolniła ludzkość od zła przez przerwanie z nim walki. Niech zło upada własną siłą. My nie powinniśmy się troszczyć o nie. Jeżeli zaniechamy na nie oddziaływać, nie będzie się pleniło, człowiek przestanie być gorszym od zwierzęcia.

Stąd rodzi się uwielbienie Tołstoja dla życia prostego, dla bytu maluczkich, pracy przy roli, życia obok zwierząt, naturalnego i cichego. Nieraz wskazywano na jego podobieństwo do Rousseau. Istnieje ono istotnie, ale tylko zewnętrzne. Jak Rousseau wierzy Tołstoi w przyrodę, ma przekonanie, że byt naturalny będzie też bytem dobrym, że z natury swojej człowiek jest istotą dobrą. Nieraz zwraca on uwagę na to, jak dzieci skore są do wszystkiego dobrego. Psują je idee fałszywe, zasłaniające prawdę, jak obłok słońce. Prawda zaś jest jedna, absolutna. Należy poświęcić całe życie aby ją odszukać. Ta głęboka tragedja życia, które straciło drogę do prawdy, bez porównania ostrzej jest odczuta przez Tołstoja, niż przez Rousseau. I związek tej prawdy z bogiem, zależność życia od czegoś poza życiem, co zarazem jest absolutnym wcieleniem naszych ograniczonych i względnych ideałów, stanowi właśnie zasadniczą różnicę pomiędzy Rousseau a Tołstojem Tołstoj to człowiek religijny i czerpie wskazówki od przyrody, jak żyć, tylko dlatego, że jest ona wyrazem bezpośredniej woli bóstwa. Tołstoj długie lata szukał „sensu życia" i jedne z ostatnich jego słów były: „Ja sam uchodzę z życia, ale pozostaną ludzie, którzy pojmują istotne jego znaczenie; oni spełnią to, do czego ja dążyłem".

Jeżeli szerokość i głębia zagadnień, jeżeli siła wczucia się w problematy stanowią mędrca, to Tołstoj był nim niezawodnie. Był to mędrzec w starym sensie tego słowa: uczący, jak żyć. Moralista i filozof. W wieku relatywizmu stawił on bezwględne żądania moralne, wierzył w absolut i dążył do przekształcenia życia za pomocą wewnętrznej siły moralnej.

Inaczej stoi sprawa, skoro weźmiemy pod uwagę, co Tołstoj wniósł do filozofji, jako do nauki? Dziwnym musi zdawać się takie postawienie kwestji. Wywołane jest ono stanowiskiem, jakie wielokrotnie zajmowano śród inteligencji rosyjskiej przy ocenie działalności Tołstoja. Mówiono. że rola jego zostanie spełniona w przyszłości, kiedy wywrze on w pełni swój wpływ na życie religijne chłopów rosyjskich. Mówiono, że zagranicą (zwłaszcza w Anglji) daje on robotnikom dziś to, co reformatorzy religijni dawali inteligencji XVII wieku. Dały się słyszeć głosy, że znaczenie jego polega głównie na jego osobistości uczciwej i silnej drażliwością sumienia i t. d. W tym wszystkim tkwi pewne poczucie wyższości tegoczesnego inteligenta ponad poziomem myśli Tołstoja. Wybitniej jeszcze występuje to na jaw w ocenie Tołstoja przez pisarzy zagranicznych. Poza słowami pochwały dla literata i uwielbienia dla podniosłości jego charakteru, widać traktowanie lekkie jego zasług na polu filozofji.

Co jest przyczyną tego stanu rzeczy? Dla czego filozof-Tołstoj nie ma uznania wśród filozofów? Oto dla tego, że dając co do treści bardzo wiele, bo nowy pogląd na moralność społeczeństw i powodując nowy rozwój w łonie chrześcijaństwa, tak co do formy jak i co do szczegółowego opracowania swojej teorji, stoi on zupełnie poza obrębem tegoczesnej filozofji i nauki.

Mówiono i pisano wiele o wiedzy Tołstoja, która miała być ogromna. W gruncie rzeczy jednak nie jest to wiedza istotna, która wykształciła umysł, co ją posiada, lecz *pogląd* na wiedzę w różnych jej gałęziach, pogląd któremu nie towarzyszy zgoła wniknięcie w istotę tego zjawiska, jakim jest nauka tegoczesna.

Lew Tołstoj żył, pomimo całej ilości przeczytanych przez siebie książek tak, jak gdyby nic nie przybyło z wysiłków ducha ludzkiego od czasów Weddy do dni dzisiejszych.

W tej negacji całej kultury z jej techniką jest coś istotnie wspaniałego. Jak astronom tegoczesny w obrachowaniach ruchów gwiazd łączy się z astronomami z przed kilku tysięcy lat i pracuje, rzec można, w bezpośrednim związku z nimi, tak i Tołstoj dociera duchem bezpośrednio do starych mistrzów duchowych ludzkości. Ta sama prostota, ta sama bezwzględność, ta sama wielkość ducha. Rzucił on okiem na całą tegoczesną ewolucję umysłową i — jakby przeszedł nad nią do porządku. Nie uległ on sugiestji otoczenia do tego stopnia, że wśród największego rozkwitu materjalistycznego pojmowania dziejów, głosił on najspokojniej przekonanie, że zmieni los ludzkości tylko moralne przekształcenie się człowieka. Wśród najdalej idących zdobyczy relatywizmu, stał on na skrajnie absolutnym punkcie widzenia. Kiedy właśnie święciła swoje tryumfy na Zachodzie psycho-fizjologja, dla Tołstoja dusza była zawsze najzupełniej niezależną od ciała. W duszy leżała dlań siła samoistna, moc twórcza.

(d. n.) *J. Kodisowa.*

LITERATURA i SZTUKA.

Syn Marnotrawny.[4)]

(fragment groteskowy).

Raz wybrała się księżniczka Jolanta na przechadzkę w lektyce. Ujrzawszy Syna Marnotrawnego, uchyliła firanki i kazała hajdukom przystanąć. Młodzieniec podbiegł skwapliwie:

— To pan grałeś tej nocy pod moim oknem? To pan? Dziękuję panu. Ma pan talent muzyczny...

— Pani — rzekł Syn Marnotrawny — jaka to szkoda, że jesteś księżniczką i dzieli nas etykieta. Takbym pragnął przejść się z tobą po mieście, zajść do jednej z tych winiarni, naprzykład do tej, pod „Mruczącym Kotem". Tyle mam ci do powiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć. A może zechcesz pani przejść się kiedykolwiek ze mną incognito?

Księżniczka uśmiechała się. Widok jej ust rozchylonych, które wyginały się jak czerwony brzeg kwiatu linją falistą, obudził w Synu Marnotrawnym struny zachwytu i wdzięczności:

— Widziałem cię wczoraj, pani, po zachodzie słońca. Byłaś na łące za ogrodem — w swej cudownej sukni błękitnej. Drzewa stały cicho, jakby zataiły oddech, a murawa zakwitła nowymi kwiatami. Przechodząc poruszyłaś gałązkę dłonią. Weszłaś do ogrodu, potym zaśpiewałaś. Dziękuję ci, pani, za ten śpiew i tę godzinę, świętą i cudną nad wszelkie słowo.

Księżniczka patrzyła nań cicho pięknymi oczyma. Potym rzekła:

— Niech mi pan przyniesie kwiat jaki niezmiernie piękny. Wszak czytałeś pan te historje o księżniczkach i kwiatach? Niech pan zgadnie, na jakiej drodze rośnie ten kwiat, którego pragnę. Chciałabym pożyć sobie z kwiatem takim choć godzinę. Wczoraj pszczoła fruwała mi koło ust. Rzekłam: — Pszczoło, czyż ja jestem kwiatem? — Wtedy odfrunęła. Myślę, że jeśli pszczoła za kwiat mię bierze, to bę-

dę mogła zgodzić się z kwiatem, który pan mi przyniesie?

Syn Marnotrawny rzekł:

— Dobrze księżniczko.

A po chwili patrząc w jej oczy: — Ach ten wiatr nieustanny nie daje dziś ani na chwilę spokoju. Kołysze gałęźmi... Szum biegnie, wzmaga się zamiera i znów wybucha. Ani sposób pomyśleć o czemś cichem... Chwilami chwyta tęsknota żałosna, jak żałosnym jest rybak, kiedy ciągnie sieć ogromną, w której jedna tylko trzepoce się ryba...

Księżniczka spojrzała nań nieco zdziwiona, a on szepnął:

— Myślałem o tych pięknych oczach w noce księżycowe, gdy miesiące świecą tak błękitnie, drzewa się jarzą jakoby własnym blaskiem i wszystko jest bardzo ciche. Marzyłem o cudzie, że buchnie olbrzymie światło z niebios, ziemia się otworzy, złoty płomień jak kwiat strzeli w górę i że ty, pani, przyjdziesz... Widziałem, jak idziesz, pustą księżycową drogą, zlewasz się z nocą i giniesz w błogim oddaleniu...

Nagle księżniczka krzyknęła: — Ach, mój Boże, mój Boże, znowu ten kruk z nad „Pustego Sadu" przelatuje. Jego cień padł mi na twarz, jak ręka Śmierci... Żegnaj mi, młody panie, i nie myśl o Jolancie, bo Jolanta jest bardzo dziwna... Nie byłbyś z nią szczęśliwy...

Kazała ruszyć pachołkom, a Syn Marnotrawny został sam na drodze ze zdziwieniem w duszy, nad którym jak ptak lazurowy unosiło się wspomnienie jej uśmiechu.

* * *

Jolanta słyszała kroki jego za sobą. Wreszcie przystanęła i rzekła.

— Więc zawsze mam słyszeć, jak pan idzie za mną! Nigdyż serce moje nie może być samotne? Doprawdy nie wiem, czego pan chce odemnie?

— Przebacz mi, pani, — rzekł Syn Marnotrawny. — Los jest zmienny i przyjść może dzień, kiedy już nie ujrzę księżniczki Jolanty. Niech mi pani pozwoli przypatrzeć się, jak się układają fałdy na sukni twojej, jak stąpa twoja nóżka. Stoisz mi, pani, ciągle przed oczyma taką, jak cię widziałem w starym lesie za zamkiem. Leżałaś niedbale na plecach, a dziki gołąb spacerował po twej nóżce. Ujrzawszy mnie, zmrużyłaś oczy i roześmiałaś się. Gołąb frunął i schował się w dębie, a tyś rzekła:

— Rzadko widuję ludzi takich, jak pan. Komu chce pan zrabować szczęście, że tu przyszedłeś?

Odpowiedziałem:

— Nie chcę nikomu rabować szczęścia. Przeciwnie, chcę je rozdawać, gdybym mógł. Jestem samotny i szukam. W tym gęstym borze noce muszą być głębokie. Inaczej patrzą gwiazdy w tych mrocznych ostępach. Gdy mgły wieczorem się podnoszą, schodzi samotność cichsza. Ze wszystkich ludzi najbliższy jestem siebie, a jednak tak daleki. Nie mogę zejść do siebie, więc nienawidzę się...

— Jesteś pan bardzo niebezpieczny — rzekłaś wtedy księżniczko. — Nienawidzisz najbliższego sobie człowieka. Jeżeli tak, to jakież masz uczucie dla mnie, co jestem tak daleka, nieznana i widujesz mnie od niedawna.

— Ach, jak pan wybornie pamięta moje słowa! — zawołała księżniczka.

— Powiedziałem wtedy: — Jesteś, pani, bardzo dziwna. W oczach masz zieloną nieobjętość puszczy. Jest w nich również rumiana jasność słońca porannego i młodego gaju. Ciało twoje pachnie mi jak młoda brzoza. Nie jesteś ani *tak* ani *nie*. Nie jesteś podobna do innych kobiet, które zawsze składają się z szeregu *tak* i *nie*. Nieokreślona jesteś i niezmierna. Upajasz mnie tem że piękność twoja nie ma granic...

Odtąd minęły cztery tygodnie. Budziłem się często z myśli tajemniczych i olśniewających, w dzień i w nocy. Chwytałem się nieustannie na tym, że myślę o tobie. Czy ty myślisz czasem o mnie?

Ponieważ księżniczka nie odpowiadała — zajrzał jej w źrenice, aby z nich myśl wyczytać. Ale ona zamknęła prędko oczy i zacisnęła powieki.

— Dobranoc pani — rzekł Syn Marnotrawny.

— Już pan odchodzi? — zapytała z zamkniętymi oczyma.

— Tak, odchodzę. Będę o pani myślał... Czy pani chce tego?

— Nie, nigdy panu nie powiem, czy chcę, bo, gdybym powiedziała, to może musiałabym pana pokochać... Ach, niechże pan już raz odejdzie.

— Podniosła powieki, gdy kroki jego ucichły. Spojrzała po drzewach, po ścieżkach i kwiatach. „Niedawno byłam jeszcze małą dziewczyną — pomyślała. — Pędziłam obręcz przed sobą i nie potrzebowałam myśleć o niczem trudnym do odgadnienia. Czy on naprawdę mnie kocha?"

* * *

Syn Marnotrawny siedział w ogrodzie, gdy dzień się kończył, i tak rozmyślał:

„Powierzać losy państwa młodzieńcowi jest rzeczą niebezpieczną. O czym bowiem, pomimo wielkiej sympatji do ludzi, rozmyśla taki jak ja urwis nad wieczorem? Czy o poprawie kodeksu karnego albo o nowych drogach bitych dla ludu? Ani trochę. Przeciwnie, o sobie, zbyt może często o sobie. Przebiega w pamięci dzieje lat ubiegłych, jak od kwaśnych jabłek odwraca się od dni, kiedy jego próżność wystawiona była na poniżenie, tonie wspomnieniem przy każdej kobietce, która raczyła go obdarzyć łaskawym pocałowaniem lub oddaniem serca gołębiego „na zawsze". Wspomina zbyt często ową rozpustną kobietkę, która wtajemniczyła go w sprawki rozkoszy, drwiąc sobie z grzechu, przeciwstawiając delikatnej piękności cnoty aksamitną piękność swej skóry. Jakże on lubi przesiadywać nad wspomnieniami jej pieszczot najbezwstydniejszego gatunku, oddając im w duszy żarliwe pochwały. Do cnoty nie czuje wcale przywiązania ani chęci. Dorwawszy się do konwi rozkoszy, chłepcze tak zapalczywie, że na ryk trzystu grzmiących z gniewnego nieba piorunów gotów zapytać: cóż to za miły szmerek dobrotliwego ojca niebieskiego? Całe jego wnętrze poprostu drwi sobie złośliwie z choroby, śmierci albo i z tego, że, Boże broń, może sprowadzić nieszczęście. Oj, tak lekkomyślność i piosenki snują się po mojej duszy. Ale spojrzmy w ten ogród, jak też on się przygotowuje do przyjęcia wieczoru. Strumień, szemrząc pod nawisłemi drzewami, pluska sobie cichutko jak serce przekonane o swej niewinności. Lśniące łątki wiją się i unoszą w blaskach, jak doskonałe boskie aeroplany. Maleńki krągły owad szafirowy przeniósł incognito — bo nie znam jego imienia — swoją tajemniczą mość ponad wodą i zgasł w krzakach. Liście jarzą się wszystkie jakby podbite złotem i szemrzą. Czara szczęścia przechyliła się do twych ust, Synu Marnotrawny. Upajaj się, póki jeszcze jesteś wielkim rozumnym dzieckiem z bujnymi włosami i krwią pałającą!"

* * *

„Od czasu, jak pokochałem tę dziewczynę, szukam samotności — myślał znów o godzinie przed północą. — Zajmuje mnie tylko Jolanta i natura... Dziwna rzecz: te chmury fioletowe, głębokie, groźne... To zapadanie pełni jakby w głąb wirów, dołów, pałających ciemnością. Albo wypływanie jej na obszary majestatycznego milczenia, na lazury pogody... Serce me upada wraz z tym księżycem w głąb ciemną i wychyla się na radość uśmiechnioną. To olbrzymie koło widnokręgu, poryte brózdami, przyczajonymi fioletami, sinością ponurych bazaltów, opalami glorji, wytryskujących z czerni, — dziwnie niespokojnie a ufnie i błogo usposabia mą duszę! A wczoraj szed-

łem aleją bukszpanową, ciętą, której geometryczna oschłość ścigała mnie jak wyrzut sumienia, lecz jednocześnie świergot małych ptasząt, gnieżdżących się po najwyższych topolach strzelistych, szeptał mi słodkie piosenki o niedoli, która skończyła się nazawsze. Z bijącym sercem mijałem staw, którego mętna głąb mruczała niemrawo: „Rzuć się we mnie i umrzyj"...— Nie, — rzekłem do stawu, bo ciekawa tkliwość każe mi patrzeć w oczy pewnej młodej księżniczki. Zaprawdę, pachną mi jej źrenice jak kosze świeżych fiołków". Staw wydał dziwny głos niby mruk pogardliwego starca, topole zaśpiewały i pieśń ich frunęła przez ogród. Pobiegłem duszą za tą pieśnią i ujrzałem na wielkiej piaszczystej równinie, której przesypujący się lekko piasek bielał jak kości na miał starte, siedem śnieżnie ubranych kobiet. Szły ku staczającemu się w różowe morze obłoków — drobnych jak dłonie księżniczki Jolanty — słońcu!

I pomyśleć, że już dziesięć dni nie widziałem tej cudnej dziewczyny. Ukrywa się chyba przede mną? Księżyc wchodzi do jej pokoju przez okno otwarte. Wdrapię się i ja tam — przy boskiej pomocy. Mam tu madrygalik w zanadrzu — napisany do niej. Nieco rozpustny — to prawda, ale jak cudnie rozewrą się ze zdumienia te oczy niewinne! Przypisuję jej rzeczy bezwstydne i — rzec można — niezgodne z jej dotychczasowym niewinnym charakterem. Jeżeli naprawdę może „mnie pokochać", to mi przebaczy — wśród łez prawdopodobnie, jeżeli nie — to złamię kark na zawsze. Wyznaję w głębi serca, że mam do księżniczki trochę nieuzasadnionych pretensji — jakby rzekł moralista. Chcę ją ujrzeć natychmiast za wszelką cenę, choćby za karę ognistego potępienia i rozpaczy wiekuistej...

Po drzewie wdarł się na okno przechylił się przez parapet i chciał cicho jak kot wkroczyć do tonącej w półmroku sypialni. Nagle uczuł się pochwyconym za ramiona. Rzucił się, targnął w hardym odporze. Trzech atletycznych drabów w maskach trzymało go żelaznymi łapami. W groźnym milczeniu zapakowali go w worek i ponieśli. Był oszołomiony. Chwiało mu się przeraźliwie w duszy pomieszanie uczuć: strachu, zdumienia, wstydu, wściekłości, bezsiły... To bał się straszliwie, czuł w gardle spazm lodowatego lęku, zimny pot przerażenia spływał mu z czoła, a włosy powstawały. Czuł, jak jeden włos odpycha drugi, jak jeżą się ze zgrozy. To wściekle miotał się w worze, bił pięściami w szorstką zgrzebną płachtę, zgrzytał zębami. To znów serce jego gorzko poniżone drżało ze wstydu, że się dał podejść i obezwładnić. Na chwilę ujrzał z przeraźliwą jaskrawością, że kiedy on tu rzuca się w twardym ciemnym worze, księżyc tam w górze sunie z majestatyczną wspaniałością wśród groźnych ciemnych chmur! Zduszonym głosem złorzeczył zbirom, ale ci nieśli go w ciężkim głuchym milczeniu, dźwigając ponuro, fatalnie, miarowo jak automaty. Czuł się w mocy siły, której genjusz zachwiać nie może, we władzy ślepego, chaosu i tępego niewolnictwa. Nieśli go na skinienie cudzej woli ludzie, którym nic nie zawinił, lecz którzy mogą zamordować go apatycznie, a potym ledz na barłogu i zachrapać. Szli to w górę, to nadół, kręcąc i nawracając. Zdawało się, że idą to koło rozgorzałych pieców, gdzie dziko huczał i buzował się ogień, to koło głębokich dołów i sadzawek, skąd biegł chłodny zgniławy wyziew stęchłej wody. Wreszcie postawiono go na ziemi i wyjęto z worka. Był w nieprzeniknionej ciemności. Grube chropawe ręce trzymały go twardo jak kleszcze. Potym te łapy kosmate wpełzły mu w kieszenie, wywracały je na nice, rabowały mu sakiewkę i papiery. (Mój madrygał! — pomyślał z jaskrawym krzykiem w duszy!) W końcu — przez głowę włożono mu na szyję rodzaj koła czy krezy drewnianej, a następnie podniesiono, postawiono na czemś, przymocowano i zamknięto krezę. Ręce zbirów puściły go... Kroki ich oddalały się i umilkły. Przygwożdżony do miejsca, został sam w grubej ciemności i głuchej ciszy.

Tak stał czas niewiadomo jak długi. Rozumiał, że umysł jego nie umie mierzyć godzin. Niektóre chwile bowiem, jakby od nadmiaru chaotycznych zgiełkliwych uczuć, dłużyły się męczeńsko, inne przechodziły piorunem, dudniły jak konie galopujące, odurzały go zawrotem lub płakały gorzko z nim razem. Gdy zwyciężało go znużenie — majaczył. Zdawało mu się, że jego dusza kurczy się i maleje. Ocykał się z przerażającym wstydem, z potem znękania na czole. I tak płynęły w ciemnicy dławiące, pomroczne godziny...

Aż kiedyś nagle oślepiające światło zabłysło — jakoby strzeliło ze wszystkich stron. Ujrzał się w pieczarze z głazów — jak się zdaje głęboko pod powierzchnią ziemi. Szereg okien okrągłych biegł pod sklepieniem. Zdawało się Synowi Marnotrawnemu, że za szybą błysnęła twarz biała, pełna zjadliwego a bezgłośnego chichotu. Od sklepienia zwisały na łańcuchach kości olbrzymie. On sam stał w ogromnej pstro pomalowanej beczce, przymocowanej do posadzki, beczce, której górne dno było rodzajem kresy, obejmującej mu szyję.

Ujrzał nagle w wielkiem zwierciadle, które zamigotało czysto i spokojnie, malowidła beczki, skazańców na stosach w ostrych kołpakach szyderczych, nagie czarownice, galopujące na miotłach lub tulące do piersi zad beczącego kozła. A ponad beczką tkwiła jego twarz skrzywiona dziwacznie i oczy ociekające łzami, rażone światłem, które zmiotło długą noc podziemi. Ciężkie zawiasy zgrzytnęły, odsunęły się zawory. Weszła królowa (Była w czarnej sukni i naszyjniku djamentowym. Jej olśniewające ramiona jaśniały nagie i bez klejnotów — jak wówczas, gdy mu je kazała całować).

— Królowo, — rzekł Syn Marnotrawny, a łzy mimowolne płynęły ciurkiem z jego źrenic — o jaką zbrodnię jestem oskarżony? Widzę, że z twojego rozkazu pozbawiono mnie wolności i osadzono w tem zgniłym podziemiu?

— O zbrodnię podstępnego opanowania woli królewskiej i zagarnięcia wysokiego stanowiska, które nie odpowiada ani twemu wiekowi, ani doświadczeniu i bystrości umysłu.

— Czyż nie zajmowałem tego stanowiska z twojej królowo zachęty, za zgodą twej królewskiej mości?

— Nastawałeś na życie króla, mącąc mu umysł, usuwając od spraw królewskich. Zresztą — ja tak chcę... Czy sądzisz, że nie znajdę trzech bogobojnych świadków, którzy pod uroczystą przysięgą zeznają, że wsypałeś do puhara króla truciznę i jadowitymi ziołami przyprawiłeś go o szaleństwo? Ach, niedoświadczony młodziku, pocóż ci było sięgać po owoce niedojrzałe, oglądać się za tą dziewczyną? Nie przeczuwałeś, że śledzę każdy krok twój, że wiem wszystko...

Ujrzał, że królowa trzyma w ręku biały zwitek. „Mój madrygał„ — krzyknął bez głosu. Wydało mu się, że stoi we mgłach wstydu. A ona rozwinęła rulon i czytała zimnym, wolnym głosem:

Madrygał (nieco nieprzyzwoity) na cześć niedostępnej księżniczki — uroczej Jolanty.

Uwaga. Przebacz mi pani, że moja galopująca wyobraźnia wyprzedza twoją łaskawość, oraz że madrygał ten nierymowany.

...„ Gdy słońce zachodziło (o tej porze migotliwej jak skrzydło motylka) ujrzałem twe oczy płonące. W tiulach koronek brabanckich uwikłane były twe włosy, których dotknięcie jak miękkość popiołu sprawia palcom zdumienie. Weszłaś do altany w staroświeckim stylu pieszczotliwym, jak usta kurtyzany, gdy rozpamiętywa pierwsze swe żądze — twój trzewiczek zajaśniał po raz ostatni i zgasł za progiem. Wszedłem z sercem bijącym — jak wodospad wśród

drzew (tęskniłem za tobą — gdym był samotny twe usta spływały do mnie na skrzydłach — leciały od gwiazd, od księżyca i z ciemności — i całowały mnie). Ileż zuchwałej pewności było w twym geście, gdyś mi kazała usiąść przy sobie. „Powiedz źrenicom moim o piękności, czego dotąd słuchać nie chciała moja skromność. Niechże zapłonę cała wstydem" — rzekłaś i położyłaś dłonie na dwojgu swych piersi, kołyszących się lekko i pełnych oczekiwania. Doprawdy, ani złocisty materjał kanapy, na którym jaskrawe kwitnęły kwiaty, ani migotliwy promień słońca, igrający na szybie weneckiej, nie był tak piękny, jak twoje oczy w których szalały migotania klejnotów i śpiewały chóry złotych jutrzenek. A gdy wycałowałem już gorące zakątki twego ciała, dołki okrągłe i uśmiechnione niewinnie, zagłębienia czarownej słodyczy, gdy przejrzałem twe oczy tak, że przez ich odmęt szafirowy błysnęły mi konstelacje nowego nieba — wtedy, o pani, wyszedłem z altany, a patrząc na ciche gwiazdy, myślałem z niechęcią i gorzkim ku nim wyrzutem, że mimo wszelkich wysiłków szalejących ramion i wyobraźni nie mogłem posiąść Ciebie całej"...

— Ach, rozpustniku!—krzyknęła królowa, chwytając się za twarz i głowę — ach, uwodzicielu nikczemny! — więc to takie listy pisze się do dziewcząt niewinnych?! Ale ja — krzyknęła ze łkaniem — przebaczę ci wszystko... Wybieraj: sąd i śmierć albo... wolność... jeżeli odepchniesz z pogardą tę romansową pannę, poniżysz w obec mnie współzawodnicę przyznasz wyższość mądrości mej i urodzie...

— Nie uznaję się godnym łaski, miłościwa pani, abym był wolny — rzekł Syn Marnotrawny.

Królowa osłupiała. Stała chwilę nieruchoma, blada. Wargi jej drgały. Podeszła do więźnia i uderzyła go w mokrą od łez twarz.

Odwróciła się wolno, z odrazą, i oddaliła milcząc. Gdy się znalazła za drzwiami, jaskrawe światło zagasło. Syna Marnotrawnego pogrzebały ciemności.

(d. n.) *Leon Choromański.*

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

Don Carlos.

TEATR WIELKI: Przedstawienie jubileuszowe 25-letniej pracy scenicznej Józefa Śliwickiego.

Na scenę dramatu naszego padł promień wielkiej poezji. Dzięki inicjatywie p. Józefa Śliwickiego, który na swe przedstawienie jubileuszowe wybrał tragedję Schillera, przeżyliśmy w cudnym śnie jednego wieczoru dzieje porywającego entuzjazmu, zaklęte w posąg bohatera. Tyle żaru najczystszych uniesień jest w tym dziele niemieckiego romantyka, tyle umiłowania wolności, tyle czci dla ideałów braterstwa i tyle zarazem wichru tęsknoty, ile tylko jej w sobie pomieścić zdoła szaleńcza pierś młodości, szturmującej do głuchych, zbrojnych piorunami, niebios.

Młody szlachetny królewicz, marzący o szczęściu uciśnionych narodów; wierny, nieustraszony rycerz, markiz Poza, duch wolny, przyszłym zaprzysiężony wiekom, którego odwaga nie cofa się przed śmiercią, a wiara w ludzkość wyzwoloną rozkwita uśmiechem szczęścia nad męką własnej ofiary; przeczysta postać królowej, której serce, jak kwiat uderzony żelazem, rozrywa się i kona w rozpaczy; księżniczka Eboli, lilja biała, nagle od łun piekielnych spłoniona, kochanka nieszczęsna, której zbrodniczość i wina jest tylko winą i oślepieniem miłości: — wszystkie te postacie, jak cudowne wizje ukochania, stają się rozkoszą wyobraźni młodzieńczej.

Nawet ów król, straszny i krwawy starzec, samotny śród tłumu dworzan i dostojników, oddany na pastwę męczarniom nędzarz, obdarzony wszechmocą; nawet ten okropny upiór okrucieństwa, odziany płaszczem kardynała, kat i morderca sumień — Wielki Inkwizytor, obaj, objęci świetlistym kręgiem wiosennych uczuć *młodości*, przestają dręczyć i przerażać, przestają przygniatać pierś człowieka bezmiarem hańby i krwawego wyrzutu. Zaiste bowiem tylko młodość jedna, wspaniałomyślna i rozrzutna młodość, niewyczerpana w źródłach miłości, idealizmu i zachwytu, potrafi dobyć ze siebie tyle pogody ducha, tyle słoneczności serca, aby tym dwu móc *przebaczyć*, aby, wobec takiego piekła rzeczywistości, nie zatrwożyć się o wartość człowieka i sumienie ludzkości!

To też „poemat dramatyczny" Schillera należy wcielić do stałego repertuaru naszych Teatrów i jaknajrychlej udostępnić go na przedstawieniach popołudniowych szerokim kołom młodzieży. Niechaj zrośnie się on z najgłębszą tajnią ich serdecznych marzeń, niechaj rozegra najcichsze, najdalsze struny ich tęsknoty, aby kiedyś, po latach, brzmieć mógł jeszcze echem pierwotnych świeżych porywów idealizmu, nieznającego granic, nie lękającego się zastrzeżeń.

Tyle sprzeczności i zgrzytów szarpie dusze dzisiejszego pokolenia, na tyle wrogich żywiołów, na tyle okruchów bezradnych rozpadła się dusza współczesna, że oto zniechęceni, zaczynamy tracić nadzieję wskszeszenia kiedykolwiek całkowitego człowieka, o duszy harmonijnej, charakterze spoistym i czynach zogniwionych hartem woli jednolitej. Niechże w płomieniach uczuć bohaterskich, w obcowaniu z olbrzymami woli nieugiętej stopi się i przepali miał drobnych rozterek, tysiącznych obarczeń, zgubnych załamań w duszy nadrastającego pokolenia, aby wielkim zadaniom życia wytrwać mogło wysiłkiem zbiorowego czynu.

Wystawa oraz insenizacja sztuki przedstawiała *maximum* tego, co w tak krótkim czasie uczynić było można, wszelako *minimum* tego, coby dla Schillera, w przyzwoitych warunkach, uczynić wypadało. Obsada ról męskich dokonana została bardzo szczęśliwie. P. Śliwicki, w tytułowej roli infanta, oraz p. Nowicki, jako markiz Poza, grali, jak przyznaje cała prasa Warszawska, prawie koncertowo. Natomiast personel kobiecy, reprezentowany w sztuce przez p. p. Przybyłko, Marcello-Palińską oraz p. Horwat, sprawiał wrażenie przykrego nieporozumienia. Rolę królowej dźwigała z widocznym wysiłkiem, lecz bez powodzenia, p. Przybyłko. Artystka ta utrwaliła się w pamięci ogółu żywiołową kreacją Aszantki w komedji Perzyńskiego. Rola ta najwidoczniej leży w samym ognisku jej promiennego talentu. W czyjej atoli głowie urodził się domysł, iż psychologja bosej, dzikiej dziewczyny z poddasza odpowiada najlepiej charakterowi wyniosłej a tkliwej małżonki potężnego króla, — pozostanie nazawsze nieodgadnioną tajemnicą kulis. Co się tyczy p. Marcello-Palińskiej, to niewątpliwie talent tej zasłużonej artystki przedstawia się równie poważnie, jak wiek; jest to talent nietylko żywotny, ale i trwały niezwykle, skoro wytrzymał próbę sądu trzech pokoleń. Niestety jednak dziś już przemawia on do nas więcej powagą swojej tradycji, niźli czarem bezpośredniości, Jakkolwiek więc świetne były jego tryumfy minione, w uszach licznie zgromadzonej publiczności na przedstawieniu teraźniejszym każde słowo słynnej artystki potwierdzało słuszność melancholijnej uwagi ks. Domingo, rozpoczynającej dramat:

> Die schönen Tage in Aranjuez
> Sind nun zu Ende...

Nie można zastosować słów tych do p. Horwat: przeszłość jej talentu zawsze była równie słaba, jak słaba jest teraźniejszość.

W. Rzymowski.

NA DOBIE.

Lokaut lekarski.

Jeśli szofer jednej z nielicznych w Warszawie dorożek motorowych zedrze z nas 3 rs. 50 kop. za krótką przejażdżkę, to na swoje usprawiedliwienie może powiedzieć, że, *primo*, samochody należą u nas do przedmiotów zbytku, *secundo* zaś nieliczne a dobrane towarzystwo, które z nich korzysta, winno z miłą chęcią uiszczać się z najbardziej wygórowanych opłat.

Ale skoro lekarze warszawscy wyznaczyli sobie przed dwoma laty i dotąd utrzymują niesłychanie wysoką taksę, która urąga zresztą prawom podaży i popytu, — musimy im przypomnieć, że porada lekarska bynajmniej nie jest i nie powinna być przedmiotem niedostępnego zbytku, lecz przeciwnie, potrzebą jaknajogólniejszą. W interesie samych lekarzy — nie mówiąc już o interesie ogółu — leży możliwe udostępnienie porady doktorskiej za pomocą taksy ściśle d stosowanej do poziomu naszej przeciętnej zamożności.

Nie wiadomo, czem powodowało się *Stowarzyszenie lekarzy polskich* ustanawiając w r. 1908 taksę wzorowaną na honorarjach niemieckich, a raczej pruskich doktorów; w każdym razie, nie kierowało się statystyką porównawczą, która stwierdza, że Prusy są conajmniej 4 razy od nas bogatsze, ale raczej swoistą kalkulacją leniwców i ospalców, którzy wolą zedrzeć z jednego pacjenta 5 rs. niż pobrać po 3 rs. od dwuch. Niemasz nic bezmyślniejszego, jak to ustanawianie cen według norm zagranicznych, które tu w tym kraju, odpowiadają nielicznym sferom zamożnego bardzo mieszczaństwa. Nie wiemy, czy taksa z r. 1908 jest ściśle przestrzegana, ale gdyby tak było, położonoby podwalinę pod nowy zupełnie ustrój społeczny, złożony z dwuch kast czyli kurji: jednej *powszechnej*, gdzieby wszyscy umierali śmiercią naturalną, i drugiej bardzo nielicznej kasty uprzywilejowanych pacjentów... Ale chyba nikomu na tym nie zależy, by ogół ludności obchodził się bez lekarzy, jak obchodzi się bez automobilów. Czas już, czas najwyższy, aby gremjum lekarzy polskich zaniechało lokautu ogłoszonego w r 1908 i weszło w pożyteczny dla siebie i dla nas kompromis... bodaj ze statystyką porównawczą. Niech nie czeka, aż przełamie jego upór żelazne prawo popytu i podaży, bowiem może się zdarzyć, że pacjenci, doprowadzeni do rozpaczy, odpowiedzą strajkiem na lokaut i... przestaną chorować.

POD ŚWIATŁO.

Troglodyci.

W obecnych czasach zachodzi pewien fakt tak dziwny, że przyszłe wieki wierzyć nie zechcą, iż to mogło mieć miejsce. Chcę go rozgłosić urbi et orbi, ażeby przyczynić się do posunięcia naprzód wiedzy nowożytnej i kres położyć zdumiewającej ignorancji przyrodników współczesnych.

Oto: Gdy Darwin udowodnił ewolucję gatunków istot żyjących, uczeni zaczęli tworzyć genealogję wszystkich stworzeń. W nieprzerwanym tym łańcuchu od ameby do rodzaju Homo Sapiens zabrakło im przedostatniego ogniwa, to jest istoty pośredniej pomiędzy małpą człekokształtną, a pierwotnym człowiekiem jaskiniowym—co nazwali Troglodytą.

I szukają już lat dziesiątki, wpadając w szał radości gdy odkopią coś przybliżonego w Heidelbergu, czy w jakichś tam innych Australjach, a nie wiedzą...

Tu właśnie leży ów fakt nieprawdopodobny, który w zdumienie wprawić może — nie wiedzą oto, że do naszych czasów dochowały się... żyjące okazy Troglodytów i to nie pojedyńcze jednostki, lecz całe ich plemię.

Wobec takiego, niczem niewytłomaczonego obskurantyzmu przyrodników, nie wiadomo co myśleć! A zdumienie ogarnia tymbardziej, że to plemię żyje, nie w niedostępnym wnętrzu Afryki, ani wśród wyżyn Pamiru, lecz w samym środku Europy, rozrzucone sporadycznie śród osad ludzkich nad brzegami Sanu i Pilicy.

Rewelacja moja wzbudzi naturalnie palącą ciekawość wśrod świata naukowego, i zanim tłumy badaczy nadjadą na studja do tajemniczych okolic, wiem że zostanę zasypana naglącymi pytaniami o szczegóły podanego przezemnie tak bardzo niezwykłego faktu.

Wiedząc o tem z góry, podaję tymczasem kilka szczegółów, by przynajmniej pierwszy głód ciekawości przyrodników zaspokoić.

Powierzchowne kształty ciała Troglodytów zbliżają się zupełnie do ludzkich, prawdopodobnie wskutek długotrwałego z tymi ostatnimi współżycia.

Zmysł naśladowczy jest u tego gatunku istot rozwinięty równie silnie jak u najbliższego im rodzaju Primatów, czyli małp człekokształtnych, od których bezpośrednio pochodzą. Wskutek tego do złudzenia mogą naśladować ludzi tak, że nawet okrywają swe ciała odzieżą, podobną do ich odzieży i od nich nabywaną.

Mózg ich jednakże złożony jest z jakichś pierwiastków nieznanych nam zupełnie, a które chemicznym składem swoim nasuwają pewne uboczne przypuszczenie. Oto mianowicie, czy z dokładnym ich zbadaniem nie zostanie rozwiązane najstraszniejsze zagadnienie na ziemi... sprawa molocha-wojny?

Materja bowiem z której zbudowany jest mózg Troglodytów będzie zapewne mogła służyć wybornie za pancerze kulochronne, nieskończenie odporniejsze niż wszelkie jakie wynaleziono dotychczas, i odda w ten sposób olbrzymią usługę ludzkości.

Oprócz cech powierzchownych i stroju przyswoili sobie Troglodyci także wiele innych rzeczy ludzkich. Tak np. Mówią oni, a nawet są w stanie wyuczyć się czytać i pisać językiem ludzi, lecz nigdy ortograficznie.

Niektórzy z pośród Troglodytów małpując ludzi, oddają swoich synów do szkół ludzkich, ale jeszcze nie było wypadku, żeby który przeszedł je normalnie. Jeżeli dojdzie do czwartej klasy uważa się za genjusza i jest za takiego przez całą rodzinę uważany.

Czasami jednakże wskutek zupełnie wyjątkowych i nadzwyczajnych okoliczności zdarzy się, że Troglodyta skończy nietylko szkoły, ale i wyższe studja.

Atoli ukończenie wyższych studjów przez Troglodytą jest czemś tak zjawiskowym, iż może nie być wcale brane w rachubę, zwykle bowiem już ich z drugiej klasy „wylewają".

Mają oni nawet na to specjalne wyrażenie: „syn obywatelski przechodzi zawsze przez piec".

Obywatelem nazywają indywiduum mające ziemię na własność. Większość Troglodytów należy do tej właśnie kategorji.

Zapewne zdaje się wam czytelnicy, że „obywatelem"

nazywają oni takiego osobnika, który posiadaną przez siebie ziemię sam uprawia.

Jakże jeszcze mało wczuliście się w psychologję tych istot!

Tryglodyta który sam ziemię uprawia nie nazywa się w ich języku obywatelem, lecz nosi specyficzną nazwę „chłopa" lub „młodszego brata", a został przez Opatrzność umyślnie stworzony na to, by dostarczał Troglodytom żywności, odzieży i pieniędzy.

„Obywatelem śród w Troglodytów nazywa się taki osobnik który ma setki morgów ziemi i wypełnia swoje życie czterema następującymi funkcjami: je, trawi, śpi i rozmnaża swój gatunek.

Coprawda wśród Troglodytów zaledwie jeden na tysiąc posiada jakąś własność, — reszta żyje w nędzy, obywając się bez wszelkiej własności, prócz garści łachmanów i wynajętej czasowo piwnicy. Ale to bynajmniej ich rozumowania nie mąci. Tego kto dąży do uspołecznienia własności, do zrobienia jej istotnie „świętą", bo do uczynienia każdej jednostki współwłaścicielem ziemi i dóbr wytwarzanych, uważają za przewrotowca i zamykają do więzień jako istotę, zagrażającą bytowi społeczeństwa.

Tłomaczyć, że to właśnie poprawi los społeczeństwa, bo los olbrzymiej większości — nie przyda się na nic. Oni bowiem za „społeczeństwo" uważają tylko swoją garsteczkę uprzywilejowaną t. j. posiadającą, i nazywają osobisty interes tej garstki — interesem społecznym.

Zdumiewające są ich pojęcia religijne. Są one naturalnie daleko pierwotniejsze niż pojęcia ludzi przedhistorycznych. Ci ostatni bowiem czcili siły przyrody, jak słońce, księżyc, piorun, więc bóstwa ich były przynajmniej istotnymi potęgami, dobroczynnymi lub złowrogimi, które nad nimi panowały.

Troglodyci jeszcze do takich wyobrażeń się nie wznieśli. Oni sami sobie robią boga. Ustanowili osobną kastę istot, rodzaj czarowników — bogotwórców.

Tego to boga, stworzonego czarami, czczą oni bardzo żarliwie, składają mu ofiary z pieniędzy, za które wznoszą dlań wspaniałe gmachy, okadzając go, grają mu i śpiewają aby go tylko ubłagać. Bo bóg ów jest straszny i okrutny, nierównie okrutniejszy od znanego niegdyś Molocha Kartagińczyków.

Według ich pojęć będzie on męczył najwyszukańszymi męczarniami istoty, które go obraziły, przez wieczność całą... po śmierci.

Co dziwniejsza, że gdy im się tłomaczy absurd i okrucieństwo takich pojęć, mówią że to jest bluźnierstwo.

Zwyczaje Troglodytów dotyczące moralności i rodziny są dla umysłu ludzkiego niewyobrażalne.

Rodziną nazywają parę istot płci odmiennej, którą czarodziej-bogotwórca upoważni do tworzenia potomstwa. Związek taki choćby złożony z osobników czujących wstręt do siebie — czczą i szanują.

Związek zaś powstały choćby z największej miłości, lecz na który czarodziej-bogotwórca nie pozwolił, jest pogardzany i nie nazywa się rodziną. Dzieci takiego związku są także pogardzane, wszelkich praw pozbawione i nie nazywają się dziećmi, lecz mają specjalną nazwę „bękartów".

Ludzi którzy chcą zmienić te pojęcia, urągające logice i unieszczęśliwiające wiele istot nazywają „demoralizatorami narodu".

Proszę tylko niech mnie uczeni Europejscy, dla których piszę te słowa, nie posądzą o tendencyjne fałszowanie faktów, celem wzbudzenia sensacji. Jest to bowiem pojęcie, które nawet u niższego od nich gatunku Primatów dziwić by mogło.

Stosunek płciowy niedozwolony przez bogotwórców uważają za najwyższą niemoralność... ale tylko dla samic dla samców zaś bynajmniej.

Nierozumiejąc jak to jest możliwe spytałem:

Więc Troglodyci czynią to bez współudziału Troglodytek lecz z samicami innnego gatunku istot?

Zainterpelowany Troglodyta zdziwił się. Naturalnie że z Troglodytkami — odparł niepojmując.

— Więc jakże skoro samcy pogardzają za to samicami?

Uśmiechnął się nad moją naiwnością i odparł spokojnie:

— Bierzesz nasze pojęcia w brzmieniu dosłownym. My nietylko nie pogardzamy, ale bardzo cenimy samice miewające stosunki nieprawe, ponieważ dają nam rozkosz, ale bierzemy je z warstw ubogich. Udajemy zaś że nimi za to pogardzamy dla tego, żeby wstrzymać od robienia tego samego samice z warstw zamożniejszych.

Nie zrozumiałam jeszcze, więc dodał w formie objaśnienia.

— Zrozumże dla czego tak czynimy. Dla dwóch ważnych powodów. Ażeby zapewnić sobie legalnych dziedziców naszego mienia, oraz żeby zachować pewną ilość Troglodytek świeżych i czystych na pielęgniarki naszych chorób, nabytych w stosunkach nieprawnych, czyli na tak zwane żony. A wmawialiśmy te pojęcia przez tyle wieków, że one w końcu, ogłupiałe niewolą uwierzyły, iż to są ich własne zasady i wbrew swemu osobistemu interesowi i szczęściu stały się gorliwymi ich wyznawczyniami.

Kończę, chcąc jaknajprędzej rzucić uczonym tę garść szczegółów, o istotach, których odkrycie da najwspanialsze świadectwo teorji Darwina o nieprzerwanej ewolucji stworzeń.

Wiem, że te dane wydadzą się niemożliwe, wiem że posądzona zostanę o rozsiewanie bajek, bredni, bo wszak takie fakty czym innem jak bredniami być nie mogą.

Cóż robić!

Jadwiga Olszewska.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Miałby się zpyszna ten, ktoby zawierzył orzeczeniom i formułom, ukutym w ferworze polemicznym naszej prasy. Zwłaszcza szafują definicjami różni puszczeni samopas publicyści obu obozów skrajnych — prawicy i lewicy — co sprawia, że nieraz okazują się w zabawnej ze sobą sprzeczności. Kiedy jedno z pism skrajnie lewicowych wytknęło nam umiarkowanie w poglądach i pomówiło niemal o starczy marazm, jednocześnie *Słowo* z d. 6 grudnia wyczuło w redakcji *Prawdy* młodzieńczy nastrój „czwartaków" studenckich, a to z powodu naszego wystąpienia w Nr. 48 przeciw ks. Zimmermanowi, a w obronie nauki świeckiej. Nic dziwnego, że zachowawcze

Słowo żywi do nas urazę za targnięcie się na autorytety, których ono broni z urzędu i powołania; gorzej, że organ realistów stosuje względem nas argumentację dość osobliwą, jak o tym świadczy następujący wyimek:

Przed niedawnym czasem odłam młodzieży nie miał pilniejszej sprawy do poruszenia, jak oddzielenie fizyczne wydziału teologicznego od uniwersytetu. Dla „Prawdy" jest to ruch „przeciw teologji jako przedmiotowi niezgodnemu z naturą wie lzy współczesnej, opartej na wolności myśli i ścisłym badaniu". Ścisłość powinna być jednak pierwszym obowiązkiem „Prawdy", a to dla odróżnienia, że co innego rozdzielić wydział teologiczny z uniwersytetem, co innego „zniszczyć" teologję; równocześnie wolność myśli powinna jej przypomnieć, że nie zwalczanie pewnej dziedziny myślenia, lecz swoboda dla każdej myśli jest prawdziwą wolnomyślnością. To, że w pewnych salach uniwersytetu wykłada się ewangelję, nie przeszkodzi polskiej wolnej myśli wydać nowego Kopernika. Oby go tylko wydała!

„Ścisłość" *Słowa* musi być podejrzanego bardzo gatunku, skoro powiada, że „co innego rozdzielić (!) wydział teologiczny z uniwersytetem, co innego „zniszczyć" teologję"...; zaś ujmowanie w cudzysłów wyrazu „zniszczyć", którego *niema* w inkryminowanym artykule *Prawdy*, zakrawa już nie na „ścisłość", lecz na coś znacznie gorszego. Nie będziemy się jednak zastanawiali nad przemyślnością świeckich jezuitów, gdy chodzi o zgnębienie postępowego „czwartaka".

Sprawa jest przez nas postawiona jasno. W imię swobody myśli, w imię wolności nauki, której tak nieszczerze broni prasa zachowawcza, żądamy usunięcia z murów Wszechnicy profesorów w sutannach, zmuszonych, w myśl ostatniej encykliki, składać co rok przysięgę, która urąga nauce, bowiem przyrzeka *ignorować fakty, przeciwne kanonom kościelnym.* Takich rzeczy nie wolno tolerować. Niech się ci panowie zdecydują, komu będą służyć: kanonom teologicznym, czy nauce świeckiej — Watykanowi, czy Polsce? Minęły czasy, kiedy na tych dwóch stołkach wysiadywano wygodnie.

Wprawdzie *Słowo* twierdzi, że władztwo kleru na wszechnicy nie przeszkodzi polskiej wolnej myśli wydać nowego Kopernika. Być może — byłby to jeszcze jeden dowód, że myśl wolna zmaga wszelkie przeszkody. Otóż my chcemy takiego Uniwersytetu w Polsce, którýby nie przeszkadzał, lecz pomagał rozwojowi myśli i nauki polskiej.

* Sprawa zaburzeń na Uniwersytecie Krakowskim dała możność rodzimym naszym kalchasom do popisania się niezwykłą maestrją obłudy na łamach świętobliwych pism, między którymi, obok *Słowa* i *Kurjera Warszawskiego* prym dzierży *Dziennik Powszechny.* Organ ks. Skimborowicza umiejętnie podsuwa domysł, że sprawcy zaburzeń chcą zamiast katolickiej socjologi ks. Zimmermanna wprowadzić do uczelni klasową socjologję Marksa. Księży pupil nie domyśla się wcale, że oni chcą *poprostu socjologji.* Polscy wolni myśliciele nie są żadnymi burzycielami ładów i światów, jak to lojalnie insynuuje *Dziennik*; żądanie, z którym dziś występują, jest oddawna w życie wcielone w całym cywilizowanym świecie, prócz niewielu zacofanych krajów. Istotnie LAICYZACJA WIEDZY nie jest bynajmniej hasłem do przewrotu; jest to idea normy, dziś panującej na całym świecie. Groźną wydać się może tylko tym, w kogo bezpośrednio godzi t. j. ambitnym duszpasterzom, którzy bardzo byliby nieradzi z wyżyn swojej wszechwładzy zejść do naturalnego zakresu funkcji czysto wyznaniowych.

Mając do wyboru zadraśnięcie kasty, której wartość jest bardzo problematyczna, — i korzyść ogólno-narodową — nie możemy się wahać.

* Nie wiadomo nigdy, zkąd grom uderzy. Kiedy w Krakowie ks. Zimmermann usiłuje skojarzyć harmonijnie teologję i finanse na tle swoistej „socjologji" — papież wydał specjalne orędzie, nakazujące osobom duchownym wziąć rozbrat z ekonomią społeczną praktycznej natury. Okazało się znów, że młodzież postępowa polska miała słuszność i teraz, jak ją miała wówczas, kiedy żądała laicyzacji Rocznicy Grunwaldzkiej. Pisma klerykalne wszczęły serwilistyczną wrzawę, dopóki kard. Puzyna nie zamknął im ust wiadomem rozporządzeniem. Obecnie, kiedy świętobliwi pismacy sadzą się na dowody, że niema nic bardziej pod słońcem naturalnego, jak „socjologja chrześcijańska" oraz „finansowość katolicka" — sam papież zamyka im usta. Uczynił to w porę, i przyznać musimy, że to rozporządzenie głowy kościoła jest z punktu zasad nowoczesnych o wiele bardziej udatne, niż wszystkie poprzednie.

Przypuścić można, że ks. Zimmermann innego jest zdania, to też wykłady jego, o ile trwać będą, staną się niebawem gorszącą i karygodną *herezją* w Kościele katolickim, na co zawczasu zwracamy uwagę *Dziennika Powszechnego* i *Słowa*...

Lecz istnieje cała dzielnica Polski, którą ostatnie orędzie papieża bezpośrednio dotyka. Jest nią Wielkopolska, gdzie kler oddawna zajmuje wszystkie gospodarcze i finansowe placówki, co mu było poczytywane dotąd za zasługę. Słusznie pisze z tego powodu p. Moszczeńska w *Kurjerze Porannym*:

Nieraz już rodacy z innych dzielnic — podziwiający znakomity ustrój tak zwanych spółek zarobkowych, zwracali uwagę poznańczykom na niebezpieczeństwo płynące stąd, że cała ta organizacja jest wyłącznie w ręku księży, ci zaś tak są drażliwi na punkcie nietykalności swego autorytetu, że jak się ks. Wawrzyniak sam wyrażał, — bardzo ostro karcą każdą zachciankę samodzielności ze strony ludu. Stanowi on tam — jak określa prof. Bernard — nie czynnik, lecz materjał organizacji, jest to karna armja — nie demokratyczne zrzeszenie. Skutkiem tego autokratycznego — w rzeczywistości teokratycznego — systemu nie wyrabiają się bynajmniej w spółkach niezależne siły świeckie, nie rozwija się rzeczywista samopomoc — i cały gmach zamiast na szerokim fundamencie ludu — opiera się na duchownych filarach.

Poznańczycy nigdy wierzyć nie chcieli, aby te filary mogły się kiedykolwiek usunąć, jakkolwiek mieli już poprzednie doświadczenie ze „Strażą", z której jeden rozkaz arcybiskupi wycofał doraźnie wszystkich obywateli w sutannach.

W tym szczególnym wypadku obawiać się jednak można, że społeczeństwo poznańskie zbyt drogo za spóźnioną lekcję zapłaci, eksperymentalnie zdobywając tę prawdę, przed uznaniem której ze wszystkich sił się broniło, mianowicie, że kler jest potęgą międzynarodową, podlegającą władzy obcej, że zatym żadnej sprawy na jego współdziałaniu a zwłaszcza na jego dyrektywie opierać nie można, choćby się miało przed oczami całe szeregi księży patrjotów nieposzlakowanej dobrej wiary.

Dla nas przestroga przychodzi w samą porę.

* Niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na roztargnienie publicystów *Kurjera Warszawskiego*, którzy, jak się zdaje, zbadali dokładnie w swoim życiu jeden tylko teren kulisów naszego teatru. Natomiast w kulisach polityki zagranicznej *Kurjerek* błąka się bezradnie, biorąc jako wyraz miarodajnej francuskiej opinji następujące zdanie paryskiego *Gaulois* o kryzysie w Anglji:

Angielscy radykaliści robią u siebie, co robią radykaliści innych krajów: poniżają rząd, druzgocą władzę, rozbrajają państwo i wydają kraj rewolucji. Lloyd George ze swymi wspólnikami usiłują zniszczyć wspaniałe narzędzie narodowej obrony i przystępują do zbrodniczego zamachu z niezwykłą bezczelnością. Radykaliści chcą burzyć — nie zaś naprawiać.

Trzeba wiedzieć, że *Gaulois*, własność p. Artura Meyer'a, jest wyrazem opinji monarchicznej, organem *quasi* — urzędowym ks. Filipa Orleańskiego, pretendenta do tronu francuskiego. Nic dziwnego, że wytworny ten dziennik zionie do radykalnej „hołoty" nienawiścią tak żywiołową, że porównać ją można śmiało z uczuciem

p. Puryszkiewicza. Czy jest ono dla *Kurjera Warsz.* równie miarodajnym? Radykalizm, gdy się znajdzie u władzy, pono „poniża rząd, druzgoce władzę, rozbraja państwo i wydaje kraj rewolucji"... Dziwnym jednak trafem zawsze w tej czynności celowały rządy wcale nie radykalne, przeciwnie, zbliżone do ideału p. p. Meyer'a i Puryszkiewicza, jako to: rządy Burbonów francuskich, włoskich i hiszpańskich, rządy Braganzów portugalskich, rządy Abdul-Hamida i t. d.

Wprawdzie *Kurjer* zaręcza, że podobnego, jak *Gaulois*, zdania o wyborach angielskich są pisma radykalne: *Siecle*, *Temps*, a nawet *Rappel*. Lecz mówiliśmy już, że *Kurjer* czuje się nieswojo za kulisami wielkiej polityki.

Opinja francuska nie dlatego pragnie tryumfu imperjalizmu w Anglji, żeby się miała obawiać rozkładowego wpływu prądów postępowych, ale poprostu dlatego, że p. p. Balfour, Beresford i Roberts reprezentują mocny kurs antygermański, co ma zrozumiałą wartość dla polityków francuskich, marzących o odwecie. Ta uzasadniona bardzo predylekcja nie ma nic wspólnego z poglądem dystyngowanej czarnej sotni w rodzaju *Gaulois*.

* P. J. Kurnatowski w *Gazecie Kujawskiej*, dając niewesoły obraz naszej kulturalnej niemocy i uwstecznienia pod wpływem rygoru katolickiego, z właściwą sobie prezycją wskazuje doraźny punkt wyjścia:

> Wolna myśl, mówiąc wyraźnie ateizm, nie jest u nas zorganizowana w instytucję. Niema wolnej gminy, gdzie można by było brać śluby, dostawać metryki urodzenia, akty zejścia, a nie sądzę, aby znalazł się dzisiaj w Polsce wolnomyśliciel, któryby poszedł załatwić te formalności, niezbędne jednak w życiu, w kościele katolickim. No więc— trzeba wybrać wyznanie, najbardziej zbliżone do wolnej myśli, najwięcej szanujące indywidualność i nie krępujące poglądów osobistych, najbardziej polskie i najbardziej demokratyczne. Takim wyznaniem jest kalwinizm. Kalwinizm jest najbardziej polski, gdyż literacki język polski jemu zawdzięcza swój początek (tłumaczenie biblji, Rej), —najbardziej demokratyczny, gdyż nigdzie zasada wybieralności pastorów i wszechwładzy synodu (ogólnego zebrania) nie jest tak bezwzględnie przeprowadzona: jest najwięcej indywidualistyczny, gdyż każdemu przysługuje bezwzględna swoboda interpretowania Biblji, a kazania pastorów mają znaczenie wskazówek, nie rozkazów. Niema żadnego celibatu księży, żadnych zakonów, żadnej spowiedzi; a całe to wyznanie wywołuje w wyobraźni złoty wiek polski zygmuntowskiej, kiedy kalwinizm był nieomal panującym.
>
> Dla deistów, wierzących w Boga, kalwinizm jest już całkiem właściwy, a jednocześnie odpowiada, stokroć lepiej od katolicyzmu, i polskim uczuciom narodowym i daje większą gwarancję samodzielności, bo pastor kalwiński zależny od swoich parafjan, nie może stać się narzędziem żadnej polityki, niezgodnej z wolą tych parafjan.

Redakcja *Gazety Kujawskiej* zastrzega się, że „pod wielu względami" zgodzić się z autorem nie może. Nie wyjawia jednak, o jakie względy jej chodzi. Wyręcza ją w tem *Kurjer Łódzki* (Nr. 282) który, w przesadnej może trosce o czystość uczuć wolnomyślnych, przekłada istniejący stan rzeczy nad środek, powyżej zalecany.

> Lecz czyż dla zapisanego przypuśćmy do kościoła rz. katolickiego, wolnomyśliciela, dla którego wstrętną i obłudną jest konieczność załatwiania w tymże kościele pewnych formalności, uczciwa będzie droga, załatwiania tychże formalności w zborze kalwińskim?
>
> Czy zgodnym będzie z jego honorem przystępowanie do innego kościoła, stwierdzenie swej przynależności do niego i zobowiązanie do zachowania pewnych reguł, wówczas, kiedy zapisuje się na wyznanie kalwinizmu w tym przeświadczeniu, że nie wypełni zobowiązań, na które wyraził swą zgodę, że zmienia wyznanie jedynie wskutek zewnętrznych przyczyn, a w gruncie rzeczy pozostanie, jak był, ateistą?
>
> Sądzimy, że nie.
>
> I z drugiej strony — czy duchowni przewodnicy kalwińscy, którzy o ile ich poznałem, są to wszystko ludzie wykształceni, lecz głęboko wierzący, jakkolwiek bez fanatyzmu, lub faryzeuszowstwa, z otwartym sercem będą przyjmowali „niewierzących" neofitów?
>
> Ubliżałoby to godności wyznawanej przez nich wiary, oraz ich stanowisku.

Kwestja, jak widać, choć bardzo na czasie, jest jeszcze niedostatecznie w kołach postępowych przemyślana, gdy same warunki naszego życia składają się na to, by ją na porządku dziennym utrzymać.

* Nic tak nie znamionuje szybkiej od pewnego czasu ewolucji naszego społeczeństwa, jak nieustające i coraz sensacyjniejsze odkrycia publicystów katolickich, wdrożonych do tropienia bezbożności i herezji.

Ostatnio znalazł się na indeksie *Goniec*, któremu *Przegląd Katolicki* takie wystawia świadectwo:

> Obecnie poszedł „Goniec" o krok dalej i zrzucił zupełnie maskę. Był dotąd antyklerykalnym, oczywiście w interesie katolicyzmu: teraz znudziło mu się grać komedję, wywiesił więc sztandar monopolu dla bezwyznaniowości i walki przeciw zapatrywaniom chrześcijańskim nie dowodami, ale kijem...
>
> ...Możemy zrozumieć, że jakiś ksiądz, niewiedzący o świecie Bożym, przesyła ku radości „Prawdy" z głębi Parany ofiarę na antykatolicki zakład wychowawczy w Sokolówku: nie możemy zrozumieć, jak mogą znaleźć się jeszcze katolicy i księża nawet, którzy abonują lub tylko tolerują „Gońca".
>
> Ale chyba teraz już zrozumieją — i przestaną.

Dii, avertite omen!

KRONIKA.

TOWARZYSTWO KRAJOZNAWCZE, które poniosło wielką stratę przez śmierć zasłużonego badacza i kolekcjonisty Zygmunta Glogera zajęło się uporządkowaniem zbiorów i wydawnictwem pozostałej literackiej spuścizny po swym założycielu. — Oddziały otwarte na prowincji i filje w Krakowie przyczyniają się do rozszerzania działalności stowarzyszenia, które jednak jak wszystkie zrzeszenia nasze cierpią na anemję finansową z powodu niedbalstwa członków.

Zimowa pora niedogodna dla wycieczek turystycznych przeznaczona jest na zwiedzanie systematyczne poszczególnych dzielnic Warszawy, której sami Warszawiacy nie znają, a która w obec ruchu budowlanego ciągle zmienia swą fizjognomję, niwelując dawne historyczne pamiątki pod szablon przeciętnej międzynarodowej pospolitości. Towarzystwo to, dążąc do pozyskania własnej siedziby, ma zamiar połączyć się z kilku innymi dla wspólnego pobudowania odpowiedniego gmachu.

— „RUCH FILOZOFICZNY". Z dn. 1 stycznia 1911 r. zacznie wychodzić we Lwowie miesięcznie pod powyższym tytułem — pod redakcją prof. d-ra K. Twardowskiego, poświęcony filozofji ścisłej. Prenumeratorzy będą otrzymywali bezpłatnie wychodzący w Warszawie kwartalnik *Przegląd filozoficzny*.

OFIARY.

Na Szkołę w Kruszynku: Należałem do Tow. pop. prz. lud. w Kr. Polskim i płaciłem rocznej składki rb. 5. Z powodu stanowiska zajętego przez Tow. w sprawie Kruszynka przestałem być członkiem tegoż Tow., a roczną składkę rb. 5 postanowiłem wnosić na szkołę w Kruszynku. Wobec tego przesyłam przy niniejszym na rzecz Szkoły w Kruszynku rb. 10, jako składki za r. 1910 i 1911. Aleksander Jaszczuk z Siedlec.

Dla uczczenia pamięci Izraela Tykocinera A Hlimpel składa 5 rb.

Książki nadesłane do Redakcji:

Bajki murzynów afrykańskich zebrała T. Helu. przełożyła Jadwiga Bornsteinowa, str. 38. Wyd. G. Centnerszwera i S-ki.

Rocznik Gebethnera i Wolffa, kalendarz encyklopedyczno-praktyczny na rok 1911. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka. 8 ka, str. 376, cena kop. 60, w opr. kart. kop. 80. Przesyłka egz. oprawnego kop. 35 i broszurowanego kop. 30.

Kazimierz Gliński. „Kniahini Anna", powieść ukraińska z pierwszej połowy XVIII wieku, Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. 1911, 8-ka, str. 430. Cena rb. 1,60.

Rogoszówna Zofja. „Pisklęta". Nowele. 8-ka, str. 137 + XXXV. Kraków, 1910. Spółka nakł. „Książka". Warszawa, G. Centnerszwer i Sp. Lwów, H. Altenberg. Now-York, the polisch book importing Co. Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione. Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.

Maupassant de Guy Wybór pism. T. III. Nasze serce. Powieść. 8-ka, str. 260. Kraków, 1910. G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Serao Matylda. „Włosy Samsona". Powieść. Przełożyła Aleksandra Skaza. 8-ka, str. 257. Kraków, 1910. Księg. J. Frommera. Warszawa, E. Wende i Sp.

Kreczmar Roman. „Poezje". 8-ka, str. 156. Warszawa, 1911. G. Centnerszwer i Sp.

Zygmunt Gozdawa Godlewski. „Po złomach", poezje, serja I, Kraków, Gebethner i Sp., 1610, str. 78, cena kop. 85.

Henryk Bergson. „Wstęp do metafizyki", przełożył i wstępem poprzedził Kazimierz Błeszyński. Wydawnictwo „Książnicy naukowej i artystycznej", Kraków, 1910, str. 104, cena kop. 80.

Edward Leszczyński. „Konik Zwierzyniecki", widowisko sceniczne w 4-ch aktach; wyd. nakład. autora. Kraków, 1910. str. 97.

Wiktorja Przeradzka. „Białe róże", dramat w 3-ch odsłonach, Warszawa, skład główny w księgarni Gebetnera i Wolffa. str. 82.

Ignacy Radliński. „Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie" w polskich przeróbkach. Warszawa, 1911, skład główny w księgarni E. Wende i Sp., str. 112.

Sfinks, zeszyt 35, Listopad 1910. Treść: M. Sobecki: Twórczość artysty. W. Bukowiński: Sonety. K. Kwieciński: Druga część trylogji Kordjanowej w „Lilli Wenedzie". A. Kraushar: Karol Grell. Adam Wolman: Jesień. D-r J. H. Retinger. Romain Rolland. F. Jabłczyński: Polonezy Chopina. Poezje. Żniwo śmierci. Przeglądy i sprawozdania. Cena rb. 1.

Nowe Tory, zeszyt ósmy, Pazdziernik. W. Makowski: Marja Konopnicka. J. Korczak: Faworyci. A. Jaros: Szkoła Akc. Tow. „Zawiercie", D-r M. Feldblum: O ważności metod praktycznych w arytmetyce. J. Dicksteinówna: Konopnicka śród dzieci. Z literatury. Przegląd prasy pedagogicznej. Z Polskiego Związku Nauczycielskiego.

Agot Gjems-Selmer. „Nad dalekim, cichym fjordem", powieść dla młodzieży, przekład Janiny Mortkowiczowej. Ilustracje. C. Larssona. Wydanie II uzupełnione. Nakład Jakóba Mortkowicza. Warszawa, 1911, G. Centnerszwer i S-ka, str. 96

Widnokręgów, dwutygodnika lwowskiego, ukazał się zeszyt XVIII i zawiera treść: Jerzy Kurnatowski: Kooperatywa—jej istota i odmiany. - Jan Kleczyński: Drzewo. — D-r M. Borowski: Filozofja Awenarjusza.—Wł. Jampolski: O Żeromskim. — E Sieklucki: Nowa modlitwa. — R. Źrębowicz· Po Festiwalu Szopenowskim. — Przegląd społeczny: Po sejmie, przez l. b. — Teatr, przez J. Kadena. — Przegląd muzyczny.

Eugenja Żmijewska. „Serduszko", powieść, Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1911, 8 ka, str. 306. Cena rb. 1,50.

Wiktor Gomulicki. „Car Widmo", powieść z czasów zasiadania, a przecie nie siedzenia Władysława, syna Zygmuntowego, na tronie Rurykowym. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. 1910, 8-ka, str. 306. Cena rb. 1,60.

Marja Konopnicka. „Italja", wydanie drugie, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp., 1911, 12-ka, str, 201. Cena rb. 1, w opr. rb. 1,40.

Marjon. „Uczciwa kobieta", Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1911, 8-ka, str. 337. Cena rb. 1,50.

Gustaw af Geijerstam. „Moi Chłopcy", szwedzkie opowiadania dla dzieci. Przełożyła Janina Mortkowiczowa. Ilustrował Zdzisław Eichler. Wydanie II. Nakład Jakóba Mortkowicza. Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka, str. 118.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Janowi Stachurskiemu Prace Ludwika Kulczyckiego drukowaliśmy już w roku bieżącym. Studja zaś Al. Lednickiego zamieścimy w roku przyszłym.

P. Stanisławowi Dz. w Kijowie. Z łaskawej propozycji Sz. Pana korzystać nie będziemy.

Robotnikom D. Ż. W. W. Z listów łaskawie nam nadesłanych nie omieszkamy skorzystać w najbliższej przyszłości.

Do numeru bieżącego dołącza się prospekty „Bibljoteki Dzieł Wyborowych" i „Przeglądu Filozoficznego".

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: Józef Jabłoński. Redaktor: Aleksander John.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.